Styczeń – Luty 1934

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Styczeń — Luty 1934

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Telefon 649-04.

T R E Ś Ć:

RODZINA I WŁASNOŚĆ*).

I. Bardzo wiele poświęca się uwagi zagadnieniom ustrojowym tego rodzaju, jak władza i znaczenie prezydenta Rzplitej i rządu, zakres działania ciał prawodawczych i ich wzajemne do siebie stosunki. Natomiast podstawy całego ustroju państwowo-prawnego, jakiemi są rodzina i własność, dwa najbardziej zasadnicze zagadnienia legislacyjne, pozostają w dyskusji publicznej odłogiem, albo rozważa się je tylko ubocznie, na dalszym planie, bez zamiłowania i bez zapału, jakby z obawą, lub pełną zawstydzenia rezerwą. Pytanie np., czy można przepisy prawne o rodzinie i własności umiędzynarodowić, ujednostajnić w różnych państwach, czy przeciwnie, instytucje te uznać należy za „dziedzictwo aktywności i tendencji narodowych“ [1]), podlegające regułom własnym, wewnętrzno-państwowym — nie zostało, o ile mi wiadomo, nigdzie definitywnie i ponad wątpliwości rozstrzygnięte, a przecież wobec znanych tendencji unifikacyjnych w zakresie prawa prywatnego nie jest to pytanie pustym frazesem, czy retoryczną tylko wzmianką.

Ale są pytania bardziej jeszcze ważne, niepokojące i pilne. Czy prawodawca ma stać z założonemi rękami wobec różnych prób i tendencji rozluźnienia związku rodzinnego, wobec idei kollektywnego wychowywania dzieci i odebrania ich w tym celu z rąk rodzicom? I odwrotnie, czy i w jakiej mierze prawodawca może i ma przeciwdziałać antyspołecznym wybujałościom rodziny i jak ma rozwiązać różne zagadnienia „opieki społecznej“, przeobrażeń

*) Odczyt wypowiedziany w listopadzie 1933 r. w Krakowie.

[1]) Droit civil comparé européen et américain. Le Droit de Famille, Essai de Réforme par Francesco Consentini. Paris 1929, str. 4.

t. zw. władzy ojcowskiej, eugeniki, dzieci nieślubnych? Nie chcę twierdzić bynajmniej, że tem wyczerpałem katalog ważniejszych pytań, dotyczących rodziny dzisiejszej — w dalszym ciągu postaram się zaznaczyć jeszcze inne kwestje z tej dziedziny. Na razie zobaczmy, czy i jakie kodyfikacja polska zajęła stanowisko wobec rodziny, jako podstawy ustroju państwowo-prawnego.

Jak to już miałem sposobność zaznaczyć w mej książce o kodyfikacji prawa małżeńskiego [2]), prace nad prawem familijnem polskiem znajdują się dopiero w zawiązku. Przedłożony rządowi przez Komisję Kodyfikacyjną projekt prawa małżeńskiego osobowego nie stał się dotąd ustawą, a wzgl. prawem obowiązującem — natomiast wywołał dużą opozycję w społeczeństwie, zwłaszcza ze strony rzym.-kat. Episkopatu polskiego i świeckich kół katolickich. W przedmowie do pracy wspomnianej zaznaczyłem, jako referent prawnego uregulowania stosunków rodzinnych, że zanim będą ustalone zasady polskiego prawa małżeńskiego, trudno przystąpić do definitywnego rozwiązania problemów prawnych rodziny i — zaraz dalej (w uwagach wstępnych) — podniosłem, że prawo małżeńskie stanowi do pewnego stopnia kodyfikacyjne p r i u s dla prawnego uregulowania stosunku rodziców i dzieci. Nie zgadzając się w wielu punktach z projektem prawa małżeńskiego Komisji, przedstawiłem tam i umotywowałem próbę k o m p r o m i s u, polegającą na przyjęciu zasady nierozerwalności małżeństw katolików, zawartych w formie kościelnej, a pozostawieniu organom państwowym — w granicach ustawy—jurydykcji w sprawie ważności małżeństwa, separacji i rozwodu co do wszystkich małżeństw cywilnych, choćby one przyszły do skutku między katolikami. Bliższych szczegółów tego projektu, jak również projektu Komisji ko-

---

[2]) „Polskie Prawo małżeńskie w kodyfikacji“, Warszawa 1932, Bibljoteka prawnicza.

dyfikacyjnej, przedstawiać tu nie będę, odsyłając ciekawych do powyższej pracy.

Zagadnienie rodziny było już dotknięte w obradach sekcji prawa cywilnego Komisji kodyfikacyjnej. Zwrócono tam najpierw uwagę, że z dawnych organizacji społecznych, jakiemi były: szczep, ród i rodzina — państwo nie mogło dotąd opanować w zupełności jedynie rodziny i musiało uznać jej „autonomję", w której jednak brutalna władza patris familias coraz bardziej w indywidualnym interesie jej członków ulegała ograniczeniom. Wysunięto tam też na czoło zagadnienie, mojem zdaniem dość przestarzałe, a mianowicie, jak obecnie usunąć zawisłość kobiety od mężczyzny, a raczej żony od męża, nie naruszając bytu rodziny, tej „podstawowej komórki życia społecznego"?

W toku obrad nad zasadami majątkowego prawa małżeńskiego pojawił się wniosek o odroczenie obrad z tej przyczyny, że prawo małżeńskie powinno być rozważane jako całość, łącznie ze stosunkiem prawnym rodziców do dzieci. Otóż, zanim jeszcze opracowano projekt (osobowego) prawa małżeńskiego, podał ś. p. Xawery Fierich [3]) następujące zasady przyszłego prawa małżeńskiego w Polsce: 1) jednolitość nowego prawa dla wszystkich ziem Rzeczypospolitej; 2) przystosowanie go do zasad Konstytucji o równości i wolności obywateli; 3) uznanie małżeństwa za podstawę organizacji społecznej i państwowej, wobec czego państwo współdziała w podniesieniu moralnej powagi małżeństwa, w wysunięciu na czoło interesu dzieci oraz w zapewnieniu poszanowania indywidualnych, równych praw obu małżonków, a zwłaszcza ich równych obowiązków wobec rodziny, którą przez swój założyli związek (postulaty higjeny rasy w miarę możności znajdą uwzględnienie); 4) uznanie trwałości pożycia małżeńskiego za naczel-

---

[3]) W „Dziesięcioleciu Polski Odrodzonej", 1918 — 1928, Kraków—Warszawa 1928, str. 265.

ny warunek państwowego rozwoju rodziny. W samym też projekcie Komisji przyjęto „klauzulę generalną“ tej treści, że, aby orzec rozłączenie i następnie rozwód na żądanie jednego z małżonków w drodze procesu, musi być naprzód stwierdzony nietylko trwały układ ich pożycia, lecz także to, że d o b r o d z i e c i, a względnie małoletniego potomstwa, nie stoi rozłączeniu małżonków na przeszkodzie [4]). W uzasadnieniu zaś projektu wysunięto czynnik rodzinny na czoło, aby zapewnić potomstwu odpowiednie wychowanie.

Stąd już widać, że w kodyfikacji polskiej nie przyjęły się dotąd myśli o „wciąż wzrastającym udziale państwa w utrzymywaniu i wychowywaniu dzieci“, o objęciu przez nie roli ojca [5]) i tym podobne próby, nie uznające trwałości związku małżeńskiego za niezbędną dla dobra rodziny. Kiedy „ojciec stanie się bezużyteczny“, a matka zarobkująca powierzy wychowanie dzieci specjalnym zakładom państwowym, albo przyjmie za wynagrodzeniem od państwa opiekę nad swemi małoletniemi dziećmi — wówczas upadek rodziny stanie się faktem wysoce smutnym i smutne wiodącym za sobą następstwa. Lecz są to, o ile idzie o nasze stosunki, „proroctwa“, nad któremi na razie nie zatrzymamy się dłużej, tembardziej, że możemy w pewnej przynajmniej mierze odpowiedzieć na te pomysły słowami ich autora (B. Russela), wypowiedzianemi w innej książce [6]). Kiedy mówi o wychowaniu dziecka, o koniecznem przygotowaniu go

---

[4]) Zwrócić też należy uwagę, że w projekcie Komisji Kodyfikacyjnej znajduje się zakaz zawierania małżeństwa w razie choroby **wenerycznej** jednego z narzeczonych w okresie zakaźnym lub jego **narkomanji**, albo otwartej **gruźlicy.** Separacja niedobrowolna (a następnie rozwód) może być uzyskana, między innemi, z powodu pijaństwa nałogowego, narkomanji, choroby wenerycznej zaraźliwej i choroby umysłowej od lat trzech. Patrz książkę cyt. w uw. 2), art. 89 i 91.

[5]) Bertrand R u s s e l: „Małżeństwo i moralność“ w tłumaczeniu H. Bołoz-Antoniewiczowej, Warszawa 1931, Rój, str. 238 n.

[6]) „Przebudowa społeczna“, Warszawa 1932, przekład dr. A. Pańskiego, str. 131 n.

do walki życiowej, gdyż życie przytłumi jego nadzieje, ufność i żywotność — dodaje: „Nie w tym duchu jednak prowadzi wychowanie państwo, Kościół i wszystkie służące im wielkie organizacje. Nigdy prawie nie chodzi w wychowaniu o chłopca, czy dziewczynę, o młodego mężczyznę, czy młodą kobietę, ale niemal zawsze—w tej czy innej formie— o zachowanie istniejącego porządku. Jeżeli zaś już jednostka brana jest pod uwagę, dzieje się to prawie wyłącznie z punktu widzenia jej sukcesów światowych — zdobycia majątku lub dobrego stanowiska*). Być zwykłym człowiekiem, jak wszyscy inni i umieć sobie radzić — oto ideał, na który wskazuje się młodym umysłom... Prawie zawsze wychowaniem kieruje jakiś motyw polityczny; dąży ono do wzmocnienia pewnej określonej grupy... w jej współzawodnictwie z innemi grupami... Nie robi się prawie niczego, co ułatwiałoby rozwój intelektualny i duchowy dziecka" [7]).

*) Atak ten na Kościół, sprzeczny z podstawowem dążeniem Kościoła, którego celem jest właśnie podnoszenie i kształcenie moralne każdej poszczególnej jednostki, tłomaczy się oczywiście nastawieniem polityczno-społecznem Russela. (Przyp. Red.)

[7]) Patrz także B. Russel: „Wychowanie a ustrój społeczny" w tłum. D-ra J. Hosiassonówny, Warszawa 1933, Rój, str. 270: „Niema powodu przypuszczać, że państwo postawi kiedykolwiek interesy dziecka ponad swoje własne; musimy zatem rozważyć, czy możliwe jest państwo, którego interesy... byłyby naogół zgodne z interesami dziecka". Co do tego na str. 243 mówi, iż „militaryzm, oraz spadający odsetek urodzeń każą państwu troszczyć się coraz bardziej o dzieci", gdyż „rozrzutnością jest pozwolić mężczyźnie umierać, zanim dojdzie do wieku, w którym mógłby być zabity na wojnie").

Z dalszego ciągu widać, że autor, mimo swych komunistycznych upodobań, nie może dać na pytanie powyższe odpowiedzi twierdzącej i że z poważną troską mówi o przyszłem zniesieniu rodziny przez rząd sowiecki w chwili, gdy mu pozwolą środki na wychowanie dzieci w instytucjach społecznych i gdy ustanie przez to kontakt między rodzicami a dziećmi (ibid. str. 220, n.). Toteż napróżno zapewnia cytowany tamże na str. 210 A. P. Pinkiewicz w książce „Nowe Wychowanie w Republice Sowietów" o większej doskonałości wychowania przez szkołę i „dom dziecięcy", niż je daje dom rodzinny. Natomiast ciekawe jest jego spostrzeżenie o tem, że **„w szkołach... wskutek przemożnego nacisku domu i innych wpływów postronnych (!) jesteśmy często bezsilni".**

Lecz, bądź co bądź rodzinie, zwłaszcza w wielkich miastach, grożą różne niebezpieczeństwa, mogące ją podważyć, jeżeli nie zniszczyć zupełnie. Oto np. Paul M o r a n d [8]) w książce p. t. New York mówi o zupełnem zamarciu, o dobiciu życia rodzinnego, do czego przyczynia się m. i. brak służby, brak łóżek, które zastępują kanapy i tapczany składane, zakazy prowadzenia kuchen w mieszkaniu i fakt wynajmowania mieszkań w hotelach. Dzieci już półtoraroczne idą do ogródków dziecięcych. Orgja światła i hałasów całonocnych, zasypianie i budzenie się wśród huku kolei, zniesienie nocy niemal zupełne — wszystko to zużywa ludzi i rodziny, niszczy ich nerwy, zmusza do ucieczki i wyjazdów z tego miasta, przeładowanego elektrycznością, gdzie człowiek żyje „pośród iskier, trzeszczących na ciele, jak robactwo".

Z temi niebezpieczeństwami, grożącemi naszej rodzinie choćby w dość dalekiej przyszłości, musimy się liczyć poważnie już dzisiaj. A wobec nich blednie, jak mi się zdaje, bardzo znana kwestja zmniejszania się „odsetka urodzeń". Stwierdzono jednak, że, o ile idzie o bardziej cywilizowaną połowę ludności zachodniej Europy i „Ameryki", liczba urodzeń coraz bardziej zostaje ograniczona, a to z powodu wydatków na dzieci, obaw kobiet przed utrudnianiem sobie przyszłości i ich przewagi liczbowej, wskutek której wiele kobiet nie wychodzi zamąż. W konkluzji uznano, że przedewszystkiem należy usunąć motywy ekonomiczne, skłaniające do ograniczenia urodzeń i to przez pokrywanie wszystkich wydatków na dzieci wyłącznie przez społeczeństwo i państwo, przez premjowanie kobiet-matek, rzucających w tym celu zarobkowanie. Tylko ludzie chorzy mieliby według tego pomysłu sami ponosić wydatki na wychowanie swych dzieci. Jednem słowem, znów państwo ma przejąć na siebie obowiązek utrzymania dziecka, bez

---

[8]) Przekład H. Hellerówny, Warszawa, Bibljoteka groszowa.

względu na to, czy dziecko pochodzi z małżeństwa, czy nie [9]). Prawdą jest, że przyczyny ekonomiczne, opóźniające ożenek u wielu ludzi, „każą im także ograniczać potomstwo“. Potęga rodziny we Francji opiera się na dobrobycie, utrzymanym m. in. dzięki niepowiększaniu rodzin, a więc zmniejszaniu się ludności, a walka o ten dobrobyt nie wpływa dodatnio na jej charakter, energję, inicjatywę. Lecz czy można myśleć dość realnie o ponoszeniu kosztów utrzymania rodzin przez państwo dziś, kiedy ono wysila się przez swe organa, aby jaknajwięcej z dobrobytu rodzin uszczknąć dla siebie na swoje cele?..

T. zw. opieka społeczna [10]), unormowana u nas ustawą z 16.8 1923 (Dz. Ust. Nr. 92, poz. 726), ma wprawdzie za zadanie „zaspokajanie ze środków publicznych niezbędnych potrzeb życiowych tych osób, które trwale, lub chwilowo, własnymi środkami materjalnymi, lub własną pracą uczynić tego nie mogą“; ale chodzi tu głównie o opiekę nad sierotami i dziećmi zaniedbanemi lub przestępczemi, więźniami, o walkę z żebractwem i t. p. (art. 2 ustawy). Wprawdzie i macierzyństwo ma być chronione, a nawet prawo do trwałej opieki przysługuje kobiecie od chwili zawarcia małżeństwa (art. 8a), atoli nie mam dostatecznych podstaw do stwierdzenia, czy przepisy te nie są raczej papierowe, gdyż wydatki na wspomniane cele, łożone w pierwszej linji przez związki komunalne, a tylko subsydjarnie przez państwo (art. 6), jeżeli nie problematyczne, to w każdym razie są niewystarczające [11]).

---

[9]) B. Russel: Przebudowa społeczna j. w. str. 164 n.

[10]) Patrz artykuł Z. Grzegorzewskiego o opiece społecznej w encyklopedji prawa publicznego I, str. 558 n. i powołane tam rozporządzenie (str. 562), oraz literaturę na str. 563. Dalej W. Rappé: Systemy nadzoru nad fundacjami, str. 54 n.

[11]) Patrz sprawozdanie stenograficzne z 46 posiedzenia Senatu Rz. P. z 23 lutego 1933 r. str. 32 i nast. Ministerstwo Opieki Społecznej ma swój organ urzędowy: „Praca i Opieka Społeczna“, kwartalnik, wychodzący od r. 1921.

Na podstawie ustawy z 18.II 1925 (Dz. U. Nr. 26, poz. 171) powołano do życia „Radę Opieki Społecznej“, obradującą w Warszawie (v. ustawę z 16/3 1923, Dz. U. Nr. 30, poz. 298). Rozporządzeniem Prezydenta Rzplitej z 6 marca 1928 (Dz. U. Nr. 29, poz. 267) utworzono obok opiekunów społecznych aż trojakie komisje opieki społecznej (gminne, powiatowe i wojewódzkie), a działalność opiekunów społecznych unormowano szczegółowo rozp. Min. z dnia 11/4 1929 (Dz. U. Nr. 30, poz. 291), polecając im zapoznanie się z warunkami życia ludności w powierzonych im okręgach i zwracanie szczególnej uwagi na wypadki, wymagające roztoczenia opieki społecznej (§ 18). Istnieje też nadzór i kontrola nad działalnością różnych instytutów (zakładów) opiekuńczych (rozp. Prez. Rzp. z 22/V 1927, Dz. U. Nr. 40, poz. 354, oraz rozp. Min. z r. 1927 Nr. 40, poz. 354 i Nr. 100, poz. 867, z r. 1930, Nr. 20, poz. 169 i Nr. 23, poz. 210, z r. 1932, Nr. 87, poz. 743 Dz. U. Rz.).

Jest rzeczą jasną, że prawo i państwo zwraca się swymi przepisami do stosunku między mężczyzną a kobietą ze względu na (choćby dopiero) przyszłe ich potomstwo. Stąd warunki i skutki prawne zawarcia między niemi związku małżeńskiego, stąd postanowienia o dzieciach ślubnych i nieślubnych. Nie od dziś też rzucono hasło tworzenia rodzin zdrowych dla zdrowia narodu, dla ulepszenia i umocnienia jego „kapitału biologicznego“ [12]). W tym celu prawodawca ustala z d o l n o ś ć do wstąpienia w związki małżeńskie (zależną według projektu prawa małżeńskiego od ukończenia przez mężczyznę lat 20, a przez kobietę lat 17 i od ich zdolności do „rozeznania“) — w tym celu też wprowadza przeszkody, unieważniające małżeństwo,

---

[12]) C o n s e n t i n i j. w. str. 12 podnosi, że już według Platona i Arystotelesa państwo nie może być obojętne wobec tworzenia się familji, lecz musi ułatwić tworzenie rodzin solidnych, zapewniających mu generację zdrową i silną.

jak bliskie pokrewieństwo lub choroba umysłowa, tudzież zakazy zawarcia związku małżeńskiego np. z powodu choroby wenerycznej, lub gruźlicy, grożącej zarażeniem współmałżonka i dzieci. Były już wnioski dalej idące, np., aby badać zdrowie narzeczonych przed udzieleniem im ślubu i wykluczyć go w razie ich ułomności, nie rokujących nadziei zdrowego potomstwa, a dalej różne projekty s t e r y l i z a c y j n e — i to nietylko wobec niewątpliwych psychopatów, lub zbrodniarzy. Są to jednak daleko idące wkroczenia w sferę, w którą w zasadzie nikt wkraczać nie powinien, wkroczenia w znacznej części bezlitosne i brutalne. Lecz t. zw. idea socjalna, czy „dobro publiczne" usprawiedliwia zdaniem wielu nawet brutalność i okrucieństwo. Zamiast altruistycznego hasła ratowania każdego najsłabszego nawet indywiduum, o czem tak pięknie w swej mowie rektorskiej mówił przed laty ś. p. X. Zimmerman, rzuca się teraz często w prasie i w literaturze nieludzkie hasło o konieczności pochłonięcia słabych przez silnych, o bezwzględnej walce o byt, w której tylko należycie uzbrojeni zwyciężają, utrzymując się na powierzchni życia. „Gdy wielki wielkiego, my duśmy mniejszych — każdy swego" [13]) — oto mutatis mutandis głosy dzisiejszej doby. I zdaje mi się, że tylko rodzina ze swym pierwiastkiem uczuciowo-altruistycznym, rodzina, nie uciskana, ale popierana przez państwo, nie rozbijana, lecz cementowana przez społeczeństwo — może zapobiec przejaskrawieniom zła i zdającemu się wzmagać ogólnemu zwilczeniu ludzkiemu, gdyż rodzina tylko łączy w sobie zarazem pierwiastek indywidualny i zbiorowy, zagwarantowaną mniej lub więcej silnie tendencję osobistego rozwoju swych członków i zarazem wspólnego dobra nietylko całości „organizmu" rodzinnego, ale przez tę, jak się to mówi zbyt często, „ko-

---

[13]) Albo, jak mówi R u s s e l: „Wychowanie a ustrój społeczny", str. 32: „Duże chłopaki biją mnie, więc ja biję malców: tak jest w porządku".

mórkę socjalną" — i państwa samego; przez rodzinę, w której już nie władza patris familias i ograniczenie praw kobiety, ale wzajemne i równorzędne poświęcenie się małżonków wychowaniu i przyszłości dzieci stanowi siłę i podstawę społeczną. Zasada zrównania obu małżonków pod względem prawnym, jak również zasada wysunięcia na czoło ich obowiązków rodzinnych, zwłaszcza wobec dzieci — już od dawna torowała sobie drogę w ustawodawstwach [14]), czego konsekwencją jest też wzrost zakresu działania opieki społecznej, dozorującej i kontrolującej należyte tych obowiązków spełnianie; nie żeby powagę ojcowską zachwiać w rodzinie, bo wychowanie dzieci bez niej obejść się nie może i ona musi i nadal niejednokrotnie rozstrzygać w różnych kwestjach rodzinnych, ale żeby chronić od jej nadużyć, od paraliżowania wpływu wychowawczego małżonki — współpracowniczki, od naruszania równowagi rodzinnej ze szkodą małoletnich dzieci.

Lecz niestety, dzieci nie zawsze mają rodzinę, zorganizowaną legalnie i chronioną przez pracodawcę. Są przecież dzieci n i e ś l u b n e, dziś już nie upośledzane tak, jak dawniej, mające w zasadzie wszystkie prawa obywatelskie na równi z dziećmi ślubnemi [15]), ale nadal jeszcze nie należące do rodziny, pozbawione jej wpływu i opieki z winy swych rodziców, a bez własnej winy [16]). I dziś jeszcze podkreślają niektórzy, że dopuszczenie ich do rodziny na równi z dziećmi prawemi byłoby przekreśleniem instytucji małżeństwa, skoro te same prawa i korzyści miałoby (wówczas) dziecko i bez ślubu rodziców — interes rodziny wymaga tedy pewnego upośledzenia takiego dziecka. Może ono więc, a wzgl. jego matka, lub jego opieka, dochodzić

---

[14]) C o n s e n t i n i j. w. str. 14 n. 17 n., powołuje się tu na kodeks cyw. szwajcarski (p. zwłaszcza art. 163. n. 183 n.).

[15]) Por. jednak § 155 austr. kod. cyw.

[16]) Patrz o tem w książce zbiorowej p. t. Le maintien et la défense de la famille par le droit, Paris, Recueil Sirey, 1930, artykuł F. G é n y p. t. L'enfant naturel et la famille, str. 118 n.

tylko „ojcostwa“ dziecka celem stwierdzenia jego pochodzenia i w następstwie tego żądać na podstawie ustalonego węzła krwi spełnienia obowiązków rodzicielskich. Tylko to „minimum sytuacji rodzinnej“ należy się dziecku nieślubnemu według większości dzisiejszych praw familijnych. Pozatem dziś jeszcze rozbrzmiewają presumcje rzymskie, jak: Mater semper certa, albo: Pater is est quem nuptiae demonstrant (gdy idzie o dzieci, urodzone przez matkę w czasie trwania ważnego związku małżeńskiego).

Dochodzenie ojcostwa odpada w razie dobrowolnego uznania dziecka naturalnego przez ojca. Lecz nawet uznanie nie zawsze dowodzi ojcostwa, wskutek czego niektóre ustawodawstwa pozwalają matce lub dziecku (a wzgl. innym jeszcze osobom) zaoponować takiemu uznaniu, lub wykazać jego szkodliwość dla dziecka [17]). To „prawo do nieślubności“ nie wszędzie jednakowo i dostatecznie jest uregulowane [18]). Zresztą obowiązuje przeważnie stara zasada wykluczania dziecka nieślubnego tylko z rodziny ojca, a nie matki, zasada, zawierająca tedy uznanie węzła rodzinnego między niem a matką nieślubną i jej krewnymi.

Wyrazem reakcji przeciwko niesłusznemu w zasadzie upośledzeniu dziecka nieślubnego są w niektórych państwach przepisy, znoszące uprzywilejowanie ustawowe dzieci prawych i dopuszczające także dzieci naturalne do dziedziczenia po rodzicach i ich krewnych. Dochodzi do tego, że znosi się samo pojęcie dzieci nieprawych [19]).

---

[17]) Por. n. p. art. 305 n. szwajc. kod. cyw.

[18]) Patrz n. p. § 158 n. austr. kod. cyw. Zoll: Das Recht auf Unehelichkeit w Zeitschrift für das privat — und öffentliche Recht der Gegenwart, tom 39.

[19]) V. F. Calverton: Der Bankrott der Ehe, übertrangen v. W. Cremer, str. 127 i 152, stwierdza, że niema w Rosji sowieckiej pojęcia dzieci nieprawych. Glinkin w broszurze o nowem prawie familijnem pisze: Nie mamy dzieci prawych i nieprawych. Tu wszystkie dzieci są równe, wszystkie prawe.

Art. 25 kodeksu ustaw o małżeństwie, rodzinie i opiece brzmi: Obopólne prawa dzieci i rodziców wynikają ze związku krwi. Dzieci rodzi-

Z powyższych uwag już widać, jak trudną rzeczą jest uregulować prawne stosunki rodzinne, będące w związku nietylko ze stosunkami gospodarczemi w państwie, ale w silniejszym może jeszcze z wierzeniami i zapatrywaniami religijnemi i moralnemi danej epoki i danego środowiska. Czynna ingerencja państwa w stosunki rodzinne jest jednak mimo to koniecznością, skoro „instynkty i uczucia socjalne“ rodzą się w tej właśnie najniższej grupie społecznej, jaką jest rodzina. Jeżeli w niej (pierwiastki) indywidualistyczne przewyższyły tendencje społeczne [20]), jeżeli egoizm indywidualny doszedł tam do zenitu, grożąc społeczeństwu i państwu, wówczas to ostatnie musi wkroczyć ze swemi normami i ze swą interwencją. Nietylko bowiem — jak widzieliśmy — stworzenie węzła rodzinnego interesuje państwo, ale także jego ciąg dalszy, z wrogimi nieraz stosunkami wśród małżonków i między nimi a dziećmi, ochrona dzieci naturalnych, sierót i inne sprawy, wchodzące w zakres opieki społecznej, lub rodzinnych zadań socjalnych. Prawo familijne nabiera przez to wszystko cech prawa publicznego i stąd wnoszą niektórzy, że dzisiejsza rodzina nie jest już — nie powinna być — ani patrjarchalną, ani „indywidualną“, ale „indywidualno-społeczną“, t. j. łączącą w sobie oba elementy przez usunięcie antagonizmów między jednostką i rodziną a państwem i przez zrozumienie wyższych zadań państwowych i społecznych [21]). Uzyskanie tego nie jest beznadziejne tam, gdzie egzystencja materjalna rodziny nie została zachwiana, gdzie położenie p r a w n e obu płci i różnych warstw społecznych zostało ukształtowane jednolicie. Prawa dzieci są wówczas pod ochroną państwa i innych związków społecznych, a obo-

ców, kaórzy nie zawarli związku małżeńskiego, mają równe praca, co dzeci zrodzone z osób, związanych małżeństwem!

[20]) C o n s e n t i n i j. w. str. 46 n. 95 n.

[21]) O znaczeniu konfliktu między potrzebami jednostki a obowiązkami obywatela patrz R u s s e l: Wychowanie a ustrój społeczny, j. w. str. 11 n.

wiązki prawno-familijne rodziców pod ich kontrolą. Lecz — rzecz jasna — ani ta ochrona, ani ta kontrola nie może iść tak daleko, aby się stała ciężarem; nie może w szczególności usuwać na bok bez najpoważniejszych przyczyn powagi rodzicielskiej, lub wkraczać w prawa własności i inne prawa majątkowe członków rodziny.

Nie będę tu rozpatrywał, jak nowsze zwłaszcza konstytucje biorą w ochronę życie rodzinne [22]). Trudno jednak nie wspomnieć o zapatrywaniu, że w t. zw. państwie władczem, społecznem, czy „totalnem", w którem „prawem naczelnem jest dobro państwa" (art. 2 proj. Konstytucji), „prawa obywatelskie winny być tak sformułowane, aby były tej naczelnej idei podporządkowane, aby motyw obowiązku obywatelskiego wobec państwa miał bezwzględną przewagę nad indywidualnymi przywilejami jednostki" [23]). Pomijam kwestję, że przywilej a prawo podmiotowe, to dwa różne pojęcia i że, jak nawet kodeks cywilny republik sowieckich wykazuje, istnieją tam także różne prawa, a nie tylko obowiązki prawne [24]). Przejdźmy jednak do naszej

---

[22]) Fichna: Referat o prawach i obowiązkach obywatelskich w Nowem Państwie II, z. 4 (8) str. 106 n.

[23]) Referat p. Stefana Mękarskiego na posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej 9 marca 1933, Nowe Państwo, j. w. str. 129 n., 148.

[24]) Np. wierzyciel zastawny ma prawo uzyskać z pierwszeństwem przed innymi wierzycielami zaspokojenie z wartości zastawionego majątku, w razie niewypełnienia przez dłużnika zabezpieczonego zastawem zobowiązania (art. 85). Są też nietylko obowiązki, ale i **prawa** osób, związanych pokrewieństwem (art. 33 n. Kodeksu ustaw o małżeństwie, rodzinie i opiece). O wzajemnych stosunkach **rodziców do dzieci** stanowi tam tytuł II kodeksu ustaw o małżeństwie, rodzinie i opiece z r. 1926, iż polegają one jedynie na związku krwi, a nie na fakcie zawarcia małżeństwa. Interesowanym służy prawo dowodzenia lub zaprzeczenia ojcostwa i macierzyństwa drogą procesu cywilnego. Przewidziany jest też spór osoby, wymienionej przez matkę, jako ojciec dziecka, przeciwko niej o „nieprawdziwość deklaracji". Matka może się zwrócić do sądu o uznanie ojcem dziecka osoby, wymienionej w jej oświadczeniu. Obowiązki ojca polegają na udziale w wydatkach, związanych z ciążą, połogiem, urodzeniem i utrzymaniem dziecka, oraz z utrzymaniem matki w czasie ciąży i przez sześć miesięcy po połogu.

Konstytucji, której art. 103 dotyczy rodziny. Bierze on najpierw pod ochronę dzieci bez dostatecznej opieki rodzicielskiej, przewiduje dalej odjęcie władzy rodzicielskiej przez sąd, wspomina opiekę nad macierzyństwem i w końcu ogranicza pracę zarobkową dzieci i młodzieży, tudzież pracę nocną kobiet i robotników młodocianych. Uznano te przepisy za niewystarczające [25]) i zaproponowano: 1) uznanie w zmienionej konstytucji „małżeństwa, jako podstawy życia rodzinnego", opartej na równouprawnieniu płci, oraz 2) iż do zadań państwa i gmin należy troska o czystość, zdrowie i rozwój społeczny rodziny — a w końcu 3) przyjęcie prawa dzieci pod szczególną opiekę, która ma być ró-

---

Prawa rodzicielskie mają być wykonywane **wyłącznie w interesie dzieci**, inaczej sąd pozbawi tych praw rodziców (art. 33), a nawet odbierze im dzieci w razie nadużycia praw rodzicielskich, lub niewypełnienia obowiązków. Wówczas powierza się dzieci organom opiekuńczym, co nie uwalnia rodziców od ponoszenia kosztów utrzymania (art. 46 i 51).

Decyzja w sprawach dzieci ma być **wspólna** (art. 38), a w braku porozumienia rozstrzyga „organ opieki i kurateli z udziałem rodziców". Natomiast sąd rozstrzyga kwestję, u którego z rodziców ma mieszkać dziecko niepełnoletnie, jeżeli oni nie mieszkają wspólnie i nie mogą lub nie chcą porozumieć się w tym względzie.

Najważniejszym obowiązkiem rodziców wobec dzieci jest obowiązek ich utrzymania, o ile są niepełnoletnie i niezdolne do pracy (art. 42, 48). Obowiązek taki mają też inne osoby w przypadkach, określonych w kodeksie, np. ojczym, macocha, spadkobierca osoby, obowiązanej do utrzymania, dziadek, babka, rodzeństwo (p. art. 42, 42^1, 42^2, 42^3, 55 zd. 2 i 54 kodeksu).

Dalszy obowiązek rodziców polega na obronie interesów osobistych i majątkowych dzieci, z czem łączy się prawo do ich zastępstwa (art. 43).

Co do praw rodziców, kodeks wymienia: 1) prawo żądania zwrotu dzieci od osoby, nieprawnie je zatrzymującej (art. 44), oraz 2) prawo do oddania dziecka na wychowanie i naukę (do terminu i pracy najemnej) zgodnie z prawodawstwem pracy.

Do **obowiązków dzieci** należy dostarczanie utrzymania rodzicom, niezdolnym do pracy. Obowiązek taki mają również — wśród warunków prawnych — pasierbowie i wnuki (art. 49, 42^1 ustęp ost. i 55).

Por. jeszcze art. 53, 56, 34 n. powyższego kodeksu. Co do małżeństwa p. moją książkę „Polskie prawo małżeńskie w kodyfikacji", str. 93 n.

[25]) Referat p. E. Waśniewskiej o obowiązkach obywatelskich w „Nowem Państwie" j. w. str. 166 n.

wnież udziałem rodzin zdrowych, mających liczne potomstwo.

Nie mogę nic zarzucić tym propozycjom, choć (jako „pesymista“) obawiam się, że one znowu uznane zostaną za „złote myśli“, jak się to dzieje — niewłaściwie i niesłusznie — z wielu postanowieniami prawnemi Konstytucji. Również nie mógłbym się oświadczyć przeciwko żądaniu zupełnego zrównania prawnego dzieci nieślubnych, a to mimo argumentów wyżej przedstawionych. Nie jest bowiem pozbawiona słuszności uwaga, że to nietylko nie wpłynie na obniżenie poziomu moralnego rodziny, ale przeciwnie, stanowić będzie hamulec przeciwko „nielegalnym“ związkom.

Pomijam tu już kwestje szczegółowe, jak ustalić się mający przez Kodeks cywilny polski rozmiar obowiązków ojca wobec kobiety ciężarnej i dziecka, rozszerzenie prawa poszukiwania ojcostwa także na opiekuna społecznego i różne pomysły zwiększenia dochodów na cele rodzinno-społeczne, jak: podatek kawalerski, zniżki rodzinne, pożyczki na założenie ogniska domowego, umarzalne w miarę urodzin dzieci etc. [26]).

Podobnych pytań możnaby zresztą stawiać więcej. Obok pytania natury ogólnej, w jaki sposób zabezpieczyć rodzinę polską przed tak groźnym dzisiaj brakiem pracy — są jeszcze zagadnienia bardziej szczegółowe, np. czy i które spory, wynikłe ze stosunku rodzinnego, wyjąć z pod orzecznictwa sądowego i przekazać władzom i instytucjom opieki społecznej, a dalej, czy jest pożądane ustanowienie specjalnego sędziego dla tych spraw, w szczególności dla spraw o alimenta. Te i inne kwestje nadają się do pozytywnego unormowania prawnego. Lecz pozatem trzeba zapewnić „generalnie“ dziecku i rodzinie polskiej możność należytego rozwijania się fizycznego i psychicznego [27]). Po-

---

[26]) O czem mówił świeżo w odczycie w Tow. ekonomicznem w Krakowie b. wiceminister skarbu, Doc. Dr. G r o d y ń s k i.

[27]) „Nowe Państwo“ j. w. str. 172 n.

le to, jak mniemam, leży u nas odłogiem jeszcze. Lecz cieszyłbym się bardzo, gdyby mi kto wykazał, że się mylę, albo, że przyszłość rodziny polskiej przedstawia się w lepszem świetle.

II. Przystępując do własności, zaznaczam, że zagadnienie to złączyło się w naszej literaturze prawniczej z innem, a mianowicie z kwestją powołania naszych czasów do tworzenia wielkiej karty własności, jaką jest w państwach t. zw. burżuazyjnych kodeks cywilny. Dlatego proszę mi darować, że odbiegnę nieco od tematu i zajmę się kwestją, która przecież stoi z nim w pewnym związku. Co się zaś tyczy związku obu tematów z sobą, rodziny i własności, wykazał go już Russel, kiedy mówiąc o przejęciu roli ojca przez państwo, uznaje ten system za możliwy w ustroju komunistycznym, natomiast za bardzo trudny do przeprowadzenia w ustroju, w którym istnieje własność prywatna i dziedziczenie. Ciekawych odsyłam do jego książki p. t. „Wychowanie a ustrój społeczny" (str. 145 n.), gdzie mówi o łączności systemu własności prywatnej z ustrojem rodzinnym.

W r. 1925 pojawiło się u nas zapatrywanie, że czasy, w których żyjemy, nie sprzyjają, nie są odpowiednie do kodyfikacji prawa cywilnego [28]). Zjednoczenie prawne jest konieczne w dziedzinie prawa karnego, gdyż pojęcia prze-

---

[28]) Patrz rozprawę Alfonsa Parczewskiego w numerze pierwszym Rocznika prawniczego wileńskiego.

Nie brakło nigdy przeciwników kodyfikacji. Wprawdzie w sławnem powiedzeniu Portalisa: On ne fait pas un code, il se fait avec le temps, nie należy upatrywać nieubłagalnie wrogiego dla niej stanowiska, gdyż chodziło mu raczej o to, aby przy tworzeniu ustaw nie zapoznawać ważnych momentów historycznych i społecznych, aby je tworzyć odpowiednio do potrzeb narodu, jego obyczajów i umysłowości (o czem patrz w książce Ray'a: Essai sur la structure logique du Code civil français). Idzie tu więc o t. zw. atmosferę społeczną i prawną, która zradza kodeks taki, jakim jest i której nie może pomijać prawodawca. Są jednak także przeciwnicy kodyfikacji „pryncypjalni", uważający ustalenie prawa

stępstw i kar za nie są wszędzie w państwach cywilizowanych mniej więcej jednakowe i byłoby anomalją, gdyby za te same czyny, karalne w obrębie jednego państwa, różne miały spadać na ich sprawców kary. Również ujednostajnienie postępowania sądowego — cywilnego i karnego — uznano za możliwe, choć już trudiejsze do przeprowadzenia, „chodzi bowiem w tej dziedzinie o mechanizm wymiaru sprawiedliwości". Negatywne stanowisko zostało więc ograniczone tylko do kodeksu cywilnego. Pomijam fakt, że na zjeździe prawników i ekonomistów polskich w Warszawie w r. 1920 zażądano bezskutecznie rozciągnięcia mocy obowiązującej kodeksu Napoleona i kodeksu cyw. Król. Pol. z r. 1825 na całą Polskę i przystępuję odrazu do najważniejszych zarzutów.

---

w kodeksach za fakt ujemny, szkodliwy dla nauki i życia (do nich należy np. cytowany u Ray'a j. w. str. 214 Alvarez). Nieskodyfikowane prawo angielskie ma być — ich zdaniem — mniej uschłe, czy suche, bardziej dostępne życiu prawnemu i jego ewolucjom, bardziej „z nami zrodzone", choć i ono nieraz wymaga korektury w kierunku pretorskiej aequitas.

Ale nic nie pomogą ataki na kodyfikację, kiedy społeczeństwo poczuje „głód kodyfikacyjny", gdy w niem ozwie się donośnie potrzeba posiadania własnych kodeksów, regulujących wielkie dziedziny prawne nie na to, aby życie prawne zamknąć raz na zawsze w formułkach, narzuconych z góry i uwalniających sędziego od myślenia i wartościowania, nie na to, aby zerwać z życiem, lecz na to, aby ująć jego biegi w uregulowane koryto, w któremby ono swobodnie i z siłą płynąć mogło, nie niszcząc samego siebie, nie szkodząc społeczeństwu, które tej regulacji żąda w przekonaniu, że reguła prawna pozostaje w stałym związku z życiem prawnem, któremu służyć jest jej prezznaczeniem.

W swej mowie rektorskiej w r. 1803 powiedział Z e i l l e r, że prace kodyfikacyjne (za Marji Teresy i Józefa II) nie dojrzały jeszcze do stworzenia i wprowadzenia w życie wielkich kodeksów: „Erst müsste mehr Einförmigkeit in die Verfassung der Personen und in den Gang der Geschäfte gebracht... das hergebrachte positive Recht einer strengen Kritik unterzogen ....selbst die Sprache, der gesetzgebende Stil mehr ausgebildet und die Nation, vorzüglich der Teil der Nation, durch welchen die neue Gesetzgebung angewendet werden sollte, zu der wichtigen Reform vorbereitet werden".

Ujemne strony kodeksu, nieodpowiadającego danej epoce, skreślił sławny romanista S a v i g n y w pracy p. t. Vom Beruf unserer Zeit für Gesetzgebung u. Rechtswissenschaft (I wyd. z r. 1814).

A takich jest dwa: pierwszy „historyczny“, drugi „społeczny“. Pierwszy ma dowieść, że unifikacja ustawodawstwa to tylko sztandar, którego znaczenia przeceniać nie należy, że „dobrobyt, pomyślność, ład prawny (?), spoistość społeczeństwa, czy siła państwa zależą od różnych czynników i faktów realnych, wśród których jednolitość prawa cywilnego, a nawet prawa sądowego wogóle, posiada bardzo niewielkie znaczenie, jeżeli wogóle je posiada“; że „zasada jedności prawa cywilnego w obrębie pewnego państwa jest jedną z tych licznych w życiu współczesnem doktryn, które mogą być czasami pożyteczne, niekiedy przy nieodpowiednich warunkach... nawet szkodliwe, w każdym zaś przypadku przeceniane być nie powinny“. Argument drugi, który nazwałem społecznym, streszcza się w zdaniu, że epoki rewolucji politycznych, czy społecznych (a do nich należy epoka, w której żyjemy), wywołując ferment i burzenie pewnych norm porządku prawnego, nie są odpowiednią chwilą do kodyfikacji prawa cywilnego.

Rozpatrzmy te argumenty kolejno. Przeciwko pierwszemu z wymienionych wyżej celów, celowi państwowoprawnemu, mają przemawiać, między innemi, stosunki W. Brytanji, która, przewodząc innym państwom w dziedzinie ekonomicznej i socjalnej, nie ma jednak dotąd jednolitego kodeksu cywilnego, a podobnie rzecz się ma także w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Ale próba zrównania czegoś tak odrębnego, jak stosunki angielskie lub amerykańskie, ze stosunkami w Polsce, chybić musi zgóry. Nikt też, o ile wiem, nie twierdził, aby Polska, po stworzeniu całości swej kodyfikacji, wskutek niej stać się miała odrazu bogatą, potężną; chodzi tylko o to, aby przyczynić się tą drogą do jej jednolitości. A taka jednolitość pod względem prawnym powinna być następstwem tego, co ongiś nazwałem wielką kodyfikacją [29]).

[29]) G o ł ą b, w „Przeglądzie Współczesnym“, Kraków, 1923, Nr. 11.

Trudno się też zgodzić z twierdzeniem, jakoby we Francji r. 1800, w którym Napoleon, jako pierwszy konsul, dał inicjatywę do swej kodyfikacji, był chwilą skonsolidowania się stosunków w państwie, będącą wyrazem ładu społecznego i porządku prawnego. Fakt, że stało się to „w przededniu monarchji“, nic nie stanowi przecież, bo i ona doszła do skutku drogą „rewolucyjną“, z której wyrósł sam inicjator. Wiadomo zresztą powszechnie, że wiek XIX był w swej pierwszej połowie epoką par excellence rewolucyjną. Mniejsza o pochwały dla kodeksu Napoleona, który może był kiedyś, ale oddawna już nie jest ideałem kodeksu nowożytnego świata cywilizowanego i o którym Francuzi sami wyrażają się nieraz bardzo krytycznie, a życie prawne przeszło nad wielu jego postanowieniami do porządku dziennego. Ale pamiętać trzeba, że w przeddzień jego redakcji dążność do jednolitości starła się z partykularyzmem lokalnym i że kodeks ten właśnie powstał nazajutrz po rewolucyjnej burzy [30]). Nie dowiedziono nam zresztą, nie starano się nawet dowieść, że gdyby jeden z projektów Cambacérès'a, zwłaszcza trzeci z czasów dyrektorjatu, „został prawem obowiązującem... kodeks cywilny stałby się prawdziwą klęską dla całego życia prawnego Francji“. Że zmęczenie rewolucją czyni naród skłonniejszym do przyjęcia, a nawet do cichego poddania się nowemu porządkowi prawnemu, jest bardzo prawdopodobne: ale i zmęczenie wojną światową i jej różnemi ujemnemi następstwami nie czyni narodu zbyt odpornym wobec kodyfikacji. Chwila taka jest więc odpowiednią do wprowadzenia w życie nowego, byle rozumnego prawodawstwa.

Historja prawodawstwa Włoch Zjednoczonych, stosunkowo szybki tam postęp prac kodyfikacyjnych i wprowadzenia w życie kodeksu cywilnego z r. 1865 — przemawiają także raczej przeciw tezie o nieodpowiedniości naszej

---

[30]) Ray, l. c. str. 7, 75.

doby do kodyfikacji prawa cywilnego. Co się zaś tyczy wzorów, na jakich oparł się ten kodeks, to były nimi nietylko prawo rzymskie i prawodawstwo francuskie, ale także kodeks cywilny austrjacki, dzieło kodyfikacyjne, pod wielu względami wybitne, bardzo przemyślane i wykończone z precyzją.

Zawodzą tem więcej argumenty z dziedziny kodyfikacji: szwajcarskiej i niemieckiej. W państwie, złożonem z kantonów kilkujęzycznych, o ustroju związkowym zupełnie swoistym, odrębnym od innych, mimoto myśl o unifikacji prawnej kiełkowała od dawna i — co do prawa cywilnego — znalazła wyraz realny w kodeksie cywilnym z 10/12 1907 r. i jeszcze przedtem w prawie obligacyjnem, ujednostajnionem już od r. 1883, a nawet od 14-go czerwca r. 1881, bo taką datę nosi ustawa związkowa, normująca ten dział prawa cywilnego. Również Niemcy, złożone wówczas z przerażającej, o ile nie zabawnej, ilości państw i państewek — „Staatenbund“, zanim się przeobraził w „Bundesstaat“ — nie mogły długo zdobyć się na wspólne ustawodawstwo właśnie z powodu owej różności „szczepów i terytorjów, które przechodziły bardzo różne koleje historyczne“. Dlaczego właśnie „psychiczne podniecenie“ narodu niemieckiego po r. 1871 wywołać miało atmosferę, sprzyjającą poczynaniom prawodawczym, kiedy, wedle naczelnego założenia owej zwalczanej tu tezy, epoka prac kodyfikacyjnych powinna być „spokojną i zrównoważoną“, trudno nam odgadnąć, wiemy natomiast, że mimo communis usus pandectorum, różnolitość prawna przed kodeksem cywilnym niemieckim istniała w Niemczech wielka i że „wspólny światopogląd prawniczego myślenia“ pod względem prawa cywilnego nastąpił dopiero po jego wprowadzeniu w życie. Bardzo wolne tempo prac nad tym kodeksem wykazuje właśnie, jak trudno było usunąć tę różnolitość w Niemczech, złożonych z tylu królestw, księstw i księstewek. Ale czy ustrój Polski, mimo

różnolitości ustawodawstwa, może być porównany z ustrojem ówczesnych Niemiec?

Już poprzednio zauważyłem, że sama unifikacja prawna nie może stworzyć raju w państwie w każdym kierunku i pod każdym względem. Jeżeli jednak, jak słusznie podniesiono, idea jedności państwowej była zazwyczaj najsilniejszym czynnikiem „inicjatywy kodyfikacyjnej", była — powiedzmy — tym bodźcem, który nietylko rzecz zapoczątkować, ale doprowadzić potrafił do szczęśliwego końca — to dlaczegóż osłabić się ją pragnie, mówiąc, że była ona tylko „symbolem zewnętrznym", od którego prawdziwe zjednoczenie nie jest zawisłe? Ale co do oddziaływania prawa prywatnego i prawodawstwa wogóle na stosunki w państwie, w kwestji znaczenia tego oddziaływania dla stosunków socjalnych i gospodarczych, a nawet etycznych — nie można mieć chyba wątpliwości. W tej mierze odwołuję się moich dawniejszych uwag o celu państwowoprawnym kodyfikacji, zaznaczając jeszcze, że uporządkowane jednolicie stosunki prawne w państwie odbiją się z pewnością także korzystnie na zewnątrz, jako wyraz poważnej siły państwowej, z którą inne narody liczyć się muszą. Czyż nie dochodziły nas nieraz głosy z zagranicy, kwestjonujące wejście z Polską w stosunki np. handlowe z tej przyczyny, że na jej ziemiach obowiązuje pięć różnych systemów prawnych? Zresztą podkreślić trzeba, że t a k i e j r ó ż n o l i t o ś c i p r a w n e j, jak u nas po trzech zaborach, takich różnic i n m e r i t o pomiędzy prawodawstwami — śmiało powiedzieć można — niema i nie było nigdzie indziej, nie było i niema jej w szczególności tam, gdzie obowiązują prawa choć niejednolite, ale własne. Gdyby ktoś mógł dowieść, że potęga tych lub innych państw, ich rozwój polityczny i ekonomiczny doszedł właśnie do szczytu z powodu braku jednolitego ustawodawstwa, wówczas dopiero znalazłby argument poważny przeciw pełnej unifikacji prawnej w Polsce. Ale, że państwa „najpotężniej-

sze“ w świecie mogą nadal istnieć, a nawet rozwijać się jeszcze mimo braku jednolitego ustawodawstwa, cóż fakt ten pomóc może państwu słabszemu, które wszystko uczynić powinno, aby nabrać siły: czy ma ono także lekceważyć czynnik, który do jego spoistości, do usunięcia wiekowego rozluźnienia przyczynić się choć częściowo, choćby w drobnej mierze, jest zdolen? Gdzież u tamtych państw przerwa w istnieniu, w bycie państwowym, przerwa, która wymaga użycia szczególnych środków, środków, zmierzających do przywrócenia spoistości w każdej dziedzinie? Nie przeceniając zatem wcale znaczenia dzieła unifikacji prawnej, przeprowadzonej dobrze i z rozwagą, tę z pewnością przypisać mu można zasługę, że, usuwając dotychczasową różnolitość prawodawstwa, zwiększa pewność prawną w państwie, umożliwia porozumienie się w tej dziedzinie między mieszkańcami różnych ziem jego terytorjum, dając przez to podstawę do powstania wspólnego sposobu ujmowania zagadnień prawnych, do wyrobienia jednolitej myśli prawniczej narodu.

Drugi argument wychodzi ze słusznego założenia, że kodeks cywilny „ogarnia tak wielką dziedzinę życia, a przytem tak ściśle wiążą się pojedyńcze jego normy i przepisy w jedną organiczną całość, że nowelizowanie nie jest sprawą ani łatwą, ani pożądaną“. Dlatego to trzeba najpierw zbadać, „czy dany moment, dana epoka sprzyja kodyfikacji, czy są odpowiednie po temu nastroje psychiczne w społeczeństwie i w państwie“.

Powołuję się tu znowu na różne momenty historyczne, podniesiono niejako przeciw zwalczanemu tu poglądowi, że w Niemczech, chociaż nietylko nie było wówczas rewolucji, ale przeciwnie, wszystko zmierzało ku porządkowi — wskutek negatywnej opinji Savigny‘ego ustała myśl o unifikacji prawnej. I znowu contra se ipsum powtórzono zdanie Kleina o austr. kodeksie cywilnym, że był on anachronizmem w czasie wojen, kryzysów handlowych i spekulacji.

Choćby tak było, miał on jednak „siłę życiową“ znakomitą, której nie stracił jeszcze, był prawdziwym balsamem na rany społeczne, zadane owymi barbarzyńskimi, choć ciągle w historji świata powtarzającymi się faktami. I w wywiadzie, który zrobił wybitny członek Komisji Kodyfikacyjnej, ś. p. Dr. Wiktoryn M a ń k o w s k i, z ówczesnym pierwszym prezesem Sądu Najwyższego w Bernie czeskiem, D-rem Augustem P o p e l k ą, czytamy następujące, trafne uwagi: „W dawnych prowincjach austrjackich, w Czechach, na Morawach i na Śląsku czeskim, obowiązuje od przeszło 100 lat austr. powszechny kodeks cywilny, oparty na zdrowych zasadach, z któremi ludność tych prowincji się zżyła i za dobre poczytuje... W przeciwieństwie do Polski, która borykać się musi z pięcioma systemami, jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że nie musimy silić się koniecznie na stworzenie nowego kodeksu, lecz poprzestać możemy na rewizji austr. powsz. kod. cywilnego i rozciągnięciu zrewidowanych jego postanowień na całe państwo“.

Ale porzućmy już historyczną „stronę medalu“, a wejdźmy na teren społeczny, dzisiejszy.

Epoka obecna nietylko dlatego (rzekomo) nie nadaje się do kodyfikacji, że jest epoką powojenną, obfitującą we wszystkie, wyżej wspomniane złe strony, ale przedewszystkiem dlatego, że „podstawowe pojęcia, na których opierał się cały dotychczasowy cywilno-prawny światopogląd, przenikający swym duchem europejskie i pozaeuropejskie kodyfikacje, miały zostać mocno szarpnięte i zachwiane“. W podkopaniu przez polskie ustawodawstwo prawa własności, zwłaszcza ziemskiej, upatruje się nieszczęśliwy „prąd ogólny“, który niewiadomo dokąd zaprowadzić nas może. „Słychać trzask może nie walącego się jeszcze, ale przynajmniej mocno pękającego porządku społecznego“, oto słowa nawskroś pesymistycznej krytyki. Ten pogląd, wypowiedziany, jak przypominam, w r. 1925, znów nie był trafny. Konstytucja marcowa uznała przecież wyraźnie

wszelką własność i poręczenie wszystkim ochrony majątkowej (art. 99). Uznaną jest własność prywatna, zarówno indywidualna, jak „zbiorowa". Prawda, są tu aż cztery ważne ograniczenia: 1) możność zniesienia, lub ograniczenia prawa własności, za odszkodowaniem, ze względów wyższej użyteczności, w wypadkach, przewidzianych ustawą; 2) możność ustawowego uznania pewnych dóbr, jako wyłącznej własności państwa; 3) możność ustawowego ograniczenia ze względów publicznych praw obywateli i związków do swobodnego użytkowania ziemi, wód, minerałów etc. i wreszcie 4) prawo państwa do przymusowego wykupu ziemi i regulowania obrotu nią w granicach ustawowych. Ale to wszystko — mojem przynajmniej zdaniem — nie narusza, nie zmienia jeszcze samej istoty prawa własności. Własność, uznana w zasadzie przez państwo, pozostaje nadal wprawdzie nie nieograniczonem, ale bądź co bądź najszerszem z praw rzeczowych, a jej różne ograniczenia istniały przecież zawsze „jak świat światem". Przykładanie szczególnej wagi do słów „wyższa użyteczność" (por. wyżej pod 1), chęć nadawania im innego znaczenia, niż utartym już oddawna terminom, jak np. „dobro publiczne" lub „użytek ogółu" — uważam za nieuzasadnione. Skoro Konstytucja stanęła na stanowisku, że ustrój rolny Rzeczypospolitej opierać się ma na zdolnych do prawidłowej wytwórczości i stanowiących własność osobistą gospodarstwach rolnych, to eo ipso przeprowadzenie tego ustroju jest dobrem publicznem, czy wyższą użytecznością, uzasadniającą wywłaszczenie [31]), a względnie „wykup" przymusowy. Nie

---

[31]) Słusznie mówi Swoboda: „Das allgemeine bürg. Gesetzbuch im Lichte der Lehren Kants", str. 114, że cel wychowania pozostał ten sam: myśl ogólnego dobra — i że cel ten musi nas z niem pogodzić, choćby kosztem starych, ulubionych wyobrażeń. Przez uznanie w niektórych nowych ustawach prawa właściciela do odkupu od państwa — przy zajściu pewnych okoliczności wywłaszczonej posiadłości (t. zw. prawo powrotnego nabycia) — dana jest gwarancja, że uświęcone kodeksem pojęcie własności prywatnej nie zaginie.

chodzi tu zatem o zabranie dóbr jednemu, a danie ich drugiemu, lecz o publiczno-prawną przemianę ustroju rolnego, pojętą jako dobro powszechne i podkreślającą silnie utrzymanie nadal własności prywatnej.

Tę myśl wyprowadziłem już zresztą dość dawno, dzisiaj podkreśla ją w swej monografji Dr. W. Steinberg [32]), mówiąc, że postanowieniami Konstytucji o reformie rolnej sama istotna prawa własności dotknięta nie została. Problem ten był zresztą szczegółowo i to na tle innych Konstytucji, rozpatrywany w r. 1924 w Ankiecie konstytucyjnej, ogłoszonej przez krakowskie Czasopismo prawnicze i ekonomiczne. Zaatakowano tam własność zbiorową, wskazując na ciężkie doświadczenia Rosji sowieckiej i mówiąc (błędnie) o „fikcji osoby prawnej", nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że empiryczny fakt istnienia i działania związku ludzkiego, jako podmiotu prawnego, nie jest zależny od naszego o nim sądu, że związek ludzki, działający w życiu społecznem i prawnem, jest rzeczywistością społeczną i prawną. Że taką rzeczywistością jest przedewszystkiem państwo, będące podmiotem praw i obowiązków prawnych i zarazem przedmiotem realnych naszych badań [33]). Dalej podkreślono w tej ankiecie, że w przeciwstawieniu do deklaracji praw człowieka z r. 1789 (1793) i dawniejszych konstytucji, uznających jedynie własność indywidualną, a nawet w przeciwstawieniu do stanu z przed wojny światowej, w którym spotykamy się ze wzrastającą własnością publiczną (upaństwowienie kolei, poczt, telegrafów i telefonów) — niektóre nowe konstytucje odbiegły bardzo daleko od zasady własności indywidualnej, jako naczelnej podstawy ustroju państwowo-praw-

---

[32]) Witold Steinberg: Prawo sąsiedzkie, Kraków 1933, str. 46. Patrz tamże str. 41 n., 43 n., 48 n.

[33]) Gołąb, w Rivista Internazionale di Filosofia del Divillo, 1926 III str. 341 n.

nego. Jednak nie można było nie przyznać, że przez przyjęcie zasady własności osobistej na ziemi uprawnej „reforma rolna w tym punkcie jest indywidualistyczną“. Postawienie na równi własności indywidualnej i zbiorowej nie jest oczywiście zniesieniem, ani nawet zachwianiem własności „prywatnej“, nie jest przekształceniem tej ostatniej w funkcję publiczną, czy społeczną. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły, a mianowicie w ograniczenia obrotowe, wprowadzone zwłaszcza przepisami prawnymi o reformie rolnej. Stanąłem bowiem powyżej na stanowisku, że ograniczenia tego rodzaju, podobnie, jak ograniczenia, wypływające z ustawy konstytucyjnej, nie naruszają jeszcze samej własności „prywatnej“, nie obalają jej jako zasady, a częstokroć okazują się tylko przejściowemi, postanowionemi w celu przeprowadzenia planów ustrojowych prawodawcy, np. co do średnich gospodarstw rolnych. Przeciwnie, podkreślają niektórzy nie bez słuszności, że Konstytucja nasza usuwa ziemię z pod „gospodarki kolektywistycznej“, stanowiąc w drugim ustępie art. 99, że ustrój rolny Polski oprze się na gospodarstwach, stanowiących osobistą, a więc nie zbiorową, własność.

Nie podzielam też obaw w tym kierunku, że w razie wydania wszystkich ustaw, zapowiedzianych art. 99 Konstytucji, a znoszących, lub ograniczających prawo własności, prawo to mogłoby się stać iluzoryczne. Na taki wniosek nie pozwala c a ł o ś ć brzmienia tego artykułu, zawierająca I-o loco uznanie „wszelkiej“ własności i oparcie na własności „osobistej“ ustroju rolnego Rzczypospolitej, wskutek czego wszystkie zapowiedziane ustawy odmienne, t. j. uchylające, lub ograniczające własność, należy uznać za wyjątkowe, wywołane względami na „pożytek o g ó ł u“, czy „w y ż s z ą“ użyteczność, które zatem nie mogą przekroczyć ram, zakreślonych Konstytucją.

Dlatego to uważam za czysto impulsywne, nie dowiedzione i nie dające się dowieść twierdzenie o tak daleko po-

sunniętej u nas „socjalizacji prawa prywatnego“, iż prawo własności nie daje się już podciągnąć pod pojęcie prawa podmiotowego, że jest to tylko forma bez treści, lub o nowej, niezgodnej z tem pojęciem treści.

„Dobro społeczne“, które w myśl tych poglądów miało wejść w miejsce prawa indywidualnego osoby, nie okazało się na szczęście tak zachłannem. Mamy jeszcze to najszersze z praw rzeczowych, mimo wielkich ograniczeń i mimo ataków na nie.

Kiedyż to zresztą prawo własności, jako takie, nie ulegało zakwestjonowaniu i atakom? Kiedy jeden może dowolnie używać jakiejś rzeczy z wyłączeniem wszystkich innych, zawsze znajdzie się drugi, który mu tego pozazdrości i który użyje wszelkich możliwych sposobów, ażeby prawo pierwszego zachwiać, przedstawić jako krzywdę społeczną, konsekwencję egoizmu, jeśli nie rabunku. „La propriété c‘est le vol“, oto znane hasło, któremu daje też wyraz Anatol France w swej „L‘ile des pingouins“ w słowach: „Cultiver la terre est une chose, posséder la terre est une autre. Et ces deux choses ne doivent pas être confondues. En matière de propriété, le droit du premier occupent est incertain et mal assis. Le droit de conquête, au contraire, repose sur des fondements solides. Il est le seul respectable parce qui‘il est le seul qui se fasse respecter. La propriété a pour unique et glorieuse origine la force. Elle nait et se conserve par la force. En cela elle est auguste et ne cède qu‘à une force plus grande. C‘est pourquoi il est juste de dire que quiconque possède est noble. Et ce grand homme roux, en assommant un laboureur pour lui prendre son champ, vient de fonder, à l‘instant, une très noble maison sur cette terre... C‘est... cette doctrine qui devait prévaloir aux époques de haute civilisation. Bulloch peut être considéré comme le créateur du droit civil.“

Lecz nie bierzmy tego zbyt serjo. Nie ulega przecież kwestji, że własność, nabyta środkami, pochodzącymi

z uczciwego zarobku człowieka — z jego pracy — wyższą jest ponad ataki tego rodzaju. Ale ograniczenie, a nawet odjęcie zupełne tego prawa ze względów publicznych, nie jest, jak wspomniałem, żadną nowością i było praktykowane od dawien dawna. Jak słusznie zauważył prof. Wenger [34]), daleko więcej, niż wyłączne używanie rzeczy przez właściciela, spotykało się z atakami, których nie można nazwać niesłusznymi, jego tradycyjne uprawnienie do dowolnego postępowania z rzeczą, do jej pozostawienia odłogiem, a nawet zniszczenia. Ta dowolność właśnie, co do decyzji w sprawie wykorzystania, lub niewykorzystania rzeczy przez właściciela przeciwną jest także kanonistycznej nauce o własności, uznającej właściciela tylko za administratora powierzonego mu dobra, którego obowiązkiem jest władać niem w interesie bliźnich. A nauka ta wyprzedziła bardzo znacznie wszelkie teorje socjalistyczne i komunistyczne, podważające prawo własności. I dziś powtarza się ją, tylko w zmienionej formie, mówiąc, że własność przestała już być prawem podmiotowem, stając się „funkcją społeczną“, obowiązkiem utrzymania i używania dla dobra powszechnego bogactwa, powierzonego temu, kto je posiada, z sankcją odebrania mu ochrony prawnej, jeśli tego obowiązku nie dopełni. I tu też szukać trzeba źródła przepisów takich, jak np. art. 153 i nast. Konstytucji niem.: „Własność obowiązuje — jej używanie ma być zarazem usługą dla wspólnego dobra... Uprawianie ziemi jest obowiązkiem posiadacza wobec społeczeństwa“ — i przepis naszej Konstytucji (art. 99 ust. 2): „Ziemia, jako jeden z najważniejszych czynników bytu narodu i państwa, nie może być przedmiotem nieograniczonego obrotu“.

Ustrój prawny Rosji Sowieckiej chciano jednak zbudować na innych jeszcze założeniach, a mianowicie na ne-

---

[34]) „Zum Zivilrecht Sowjetrusslands“, w Archiv für Rechts—und Wirtschaftsphilosophie, XX Band (1916), Heft I, str. 3 nast. i tam cytowana literatura.

gacji różnicy między prawem publicznem, a prawem prywatnem, oddanem na usługi indywidualności, gdzie więc jednostka i jej prawa wybijają się na plan pierwszy. Tymczasem w Rosji starano się zgnieść „kapitalistyczne“ prawo prywatne, usunąć indywidualizm w prawie. Oparci o teorje niektórych uczonych francuskich, politycy i prawnicy sowieccy uznają w zasadzie jedno tylko prawo podmiotowe człowieka, prawo pełnienia swych obowiązków. Niema praw naturalnych, jest tylko „funkcja społeczna“, którą każdy ma do spełnienia. Ochronę prawną uzyska ten tylko, kto ją wypełni odpowiednio. Państwo stoi pod każdym względem, w każdej dziedzinie, ponad jednostką, bo ono tylko urzeczywistnić zdoła owe funkcje społeczne.

Zobaczmy, czy i w jaki sposób udało się tam wprowadzić pogląd ten w życie.

Z początku, w pierwszych latach ustroju komunistycznego, w latach zaciętego niszczenia burżuazji, usuwano systematycznie dotychczasowe ustawy, jako sprzeciwiające się rewolucyjnemu sumieniu i poczuciu prawnemu. Nieruchomość ziemską i częściowo miejską wyjęto z pod własności prywatnej, różnymi zakazami i konfiskatami starano się ograniczyć własność taką na ruchomościach, zniesiono prawo spadkowe, wzbroniono przedsiębrania różnych aktów prawnych. Pomściło się to wszystko srodze na gospodarce społecznej: razem z wyjętemi z pod prawa, zrujnowanemi jednostkami do ruiny zdążało też i państwo. Nędza i bunty spowodowały nawrót do tyle znienawidzonego kapitalizmu. Kapitał z zagranicy żądał jednak dla siebie ochrony prawnej, „koncesji“, a wskutek tego musiano dać także pewne prawa prywatne i obywatelom własnym dla „przeciwwagi“, jak się wyraził Lenin w dniu 20 grudnia 1920 r. Stworzono więc na poczekaniu, z niesłychanym pośpiechem, choć nie bez talentu, ustawodawstwo cywilne, wprowadzające t. zw. kapitalizm państwowy, oparty o „praworządność rewolucyjną“. Państwo sowieckie, ma-

jąc w swych rękach największą ilość dóbr, ma dalej wyższość ekonomiczną i prawną nad jednostką. Ale złudzeniem byłoby twierdzić, że żadne prawa podmiotowe jednostek nie powstały. Prawda, dawne prawa dotychczasowych ich podmiotów znikły bez śladu wskutek „rewolucyjnego przedawnienia“ i nie przywróocono im praw tych z powrotem. Pokazało się jednak, że nastąpiła wprawdzie zmiana w podmiotach — nowi uprawnieni wstępują na widownię — ale wróciły prawa! Program z r. 1922 uznaje osobowość fizyczną i prawną, uznaje dalej własność na ruchomościach, których nie wyjęto z obiegu i na budynkach, przywraca częściowo prawo spadkowe małżonka, dzieci, wunków i prawnuków zmarłego, dopuszcza różne umowy, jak kupno, pożyczkę, spółkę i t. d.

W tym samym roku wydano niemal wszystkie kodeksy cywilne i karne z zadziwiającą płodnością prawodawczą.

Nowe prawo prywatne nie zostało w całości „odindywidualizowane“, mimo wszystkich zabiegów w tym kierunku. Przeciwnie, pogląd komunistyczny poczynić musiał ustępstwa na rzecz interesów jednostek, na rzecz tyle zwalczanych praw prywatnych. I można sobie mówić, że prawo prywatne zachowało tylko swą „formę“, przeistaczając się co do treści w prawo publiczne. Autonomja jednostki w tej dziedzinie nie da się nigdy wykluczyć w pełni.

Kodeks cywilny sowiecki głosi wprawdzie zaraz na wstępie, że prawa prywatne o tyle tylko są chronione, o ile są urzeczywistniane w zgodzie z ich socjalno-gospodarczem przeznaczeniem. Ale uznaje podmioty prawne, ich zdolność prawną i zdolność do działania, swobodę poruszania się i osiedlania, zarobkową i zawodową, nabywania i pozbywania rzeczy, oraz zawierania aktów prawnych i zakładania przdsiębiorstw przemysłowych i handlowych — wszystko to oczywiście w granicach przepisów obowiązujących.

Pełnoletność, z uzyskaniem której osiąga się zdolność do działań prawnych, oznaczono na lat 18.

Właściciel ma prawo posiadania, używania i rozporządzania rzeczą, znowu w granicach przepisów obowiązujących.

Co do ziemi, wiemy już, że nastąpiła jej „socjalizacja". Zamiast prawa własności prywatnej powstało prawo do ziemi, t. j. prawo użytkowania jej własną pracą. Ponieważ ziemię upaństwowiono, istnieje w Rosji Sowieckiej własność zwierzchnia nad nią, którą ma państwo i własność użytkowa osoby, która ją uprawia. Użytkowca nie może rozporządzać ziemią drogą sprzdaży, darowizny, testamentu. Ziemia po jego zgonie przechodzi w użytkowanie członków zbiorowego gospodarstwa rolnego, jako związku, opartego na rodzinie i pracy. Ale użytkowca ma prawo gospodarowania ziemią w obrany przez siebie sposób i może stawiać na niej budynki, które nie stają się własnością państwa. Użytkowca, a względnie ów związek rodzinno-gospodarczy, ma własność wszelkich budowli na gruncie, nie może ich jednak pozbywać bez zezwolenia państwowego. Nabywca takich budowli musi być również użytkowcą i to w danej okolicy. Użytkowca może wydzierżawić grunt, jeżeli jest ciężko chory lub pełni służbę wojskową; dzierżawca musi jednak pracować sam na gruncie i nie może mieć go więcej, niż na to starczą jego siły. Prawo użytkowcy nie jest ograniczone czasowo, a odjąć je można mu tylko wtedy, gdy bez poważnych przyczyn nie uprawia ziemi.

Znaną jest rzeczą, że przepisy, którymi zakazano kupna i sprzedaży nieruchomości, obchodzili często chłopi, sprzedając nietylko swe „użytkowanie" i budynki, ale poprostu całe gospodarstwo, jako swą własność. Sowiety wiejskie i komitety wykonawcze zatwierdzały nieraz takie akty, mimo, że wykraczały one przeciw nowemu prawu.

Widzimy na tych przykładach, jak trudną jest rzeczą walka nowych „konstruktorów“ życia społecznego i państwowego z zakorzenionemi od wieków pojęciami i z nabytemi prawami. „Samo życie“, jak się wydaje niektórym, nie złamie prawa własności. Żadna deklaracja praw pracującego i wyzyskiwanego ludu (1918) nie może, mojem zdaniem, praw indywidualnych znieść całkowicie i nazawsze z powierzchni życia społecznego, choćby przed niemi i ponad niemi górowały obowiązki prawne, choćby im zostały podporządkowane wszelkie prawa obywatelskie [35]).

Wszyscy nieuprzedzeni przyznają, że w Rosji sowieckiej nie umiano, mimo chęci, zdusić w zupełności prawa prywatnego, że więc owo bezprzykładne „doświadczenie komunistyczne“ wykazało bankructwo faktyczne i prawne czystego komunizmu. Podobnie, jak kodeksy: cywilny i agrarny, ukłon w stronę prawa prywatnego robi także sowiecki kodeks pracy z roku 1922. Mimo licznych ograniczeń i obostrzeń publiczno-prawnych, kontrakt pracy jest przewidziany i dozwolony. I znów pamiętać tu trzeba, że różne ograniczenia tego kontraktu względami na dobro publiczne, na sytuację pracownika, regulowaną w niejednym kierunku przez państwo i związki zawodowe, istnieją także i to nie od dzisiaj, w większości prawodawstw europejskich.

Przepis, iż „wszelka własność na ziemi i roli jest raz na zawsze zniesioną“, hasło zupełnej socjalizacji ziemi i tym podobne napotkają zawsze na opór ludzi, czujących się w swem „prawie“, dążących do jego nabycia, lub chcą-

---

[35]) Por. „Nowe Państwo“ II z. 4 (8), str. 149.

Inaczej przedstawia metamorfozę prawną Rosji sowieckiej S. Dniestrzański w Czasopiśmie prawn. i ekonom. 1932 (odbitka, str. 7 n.), mówiąc, iż kodeks cywilny sowiecki nie miał na myśli wznowienia prawa prywatnego w znaczeniu ogólnie przyjętem, chociaż spotykamy w nim wiele przepisów prawnych, przypominających przepisy innych europejskich kodeksów cywilnych. „Celem publikacji prawa cywilnego było wzbudzenie inicjatywy prywatnej jednostek dla podniesienia sił produktywnych kraju i jedynie ze względu na ten cel przystąpiła sowiecka ustawa cywilna do **konstrukcji sfery prawnej jednostki**“.

cych utrzymać nadal już uzyskane prawa podmiotowe. Czekajmy zresztą końca reform rosyjskich, ich ostatecznego w przebudowie społecznej wyniku [36]).

A tymczasem zobaczmy, jak z temi prawami postąpiono w Niemczech, w których również wola „autorytetu zewnętrznego" targnęła się ostro na gospodarkę prywatną i na prywatne prawa. Tak zwane Sozialisierungsgesetz z 23 marca 1919 r. głosi przewagę państwa nad niemi, głosi też — podobnie, jak w Rosji — ogólny obowiązek pracy, mimo, że zawsze będą ludzie, co jedzą, choć nie pracują, że w naszych czasach, w czasach; w których się pojawił „das furchtbare Gespenst der Arbeitslosigkeit von Millionen..." jest ich niestety coraz więcej [37]). Ale kwestją pracy nie zajmujemy się w tym odczycie. Konstytucja weimarska z 11 sierpnia 1919 r. w art. 153 i 155" gwarantuje" wprawdzie własność prywatną, wychodząc nawet z jej założenia, ale w dalszym ciągu pozwala nawet na wywłaszczenie osób prywatnych bez odszkodowania(choć na podstawie ustawy) [38]) i w końcu uznaje własność z a służbę dla dobra ogólnego. Zresztą według ostatniej znanej nam „Ermächtigungsgesetz" dla rządu Hitlera z 24 marca r. b. RGBl. I. S. 141, na czas do 1 kwietnia 1937 postanowiono, iż ustawy rządowe „von der Rechtsverfassung abweichen können" [39]), wobec czego ble-

---

[36]) Obecnie André Maurois w „Mes Songes que voici" (Paris, Ed. B. Grasset 1933, str. 49 n., a zwłaszcza 56 n.), w rozdziale VII p. t. Esquisse d'un rélativisme économique, z powołaniem się na Borysa Pilniaka („Wołga wpada do morza Kaspijskiego") — wyraża wątpliwość co do udania się na stałe eksperymentu sowieckiego i w różnych tegoż objawach upatruje powrót i odnowienie burżuazji (p. str. 59).

[37]) Justus Wilhelm H e d e m a n n: Mitteilungen des Jenaer Instituts für Wirtschaftsrecht, 1932, Heft 23, str. 35 n.

[38]) Podobnie Konstytucja czesko-słowacka z r. 1920, § 109 II, o czem „Ankieta konstytucyjna" w Czasopiśmie prawn. i ekonomicznem (j. wyżej), str. 380. Por. M. S t a r z e w s k i: Konstytucja republiki Czechosłowackiej, 1926, str. 161 n.

[39]) „Mitteilungen des Jenaer Instituts für Wirtschaftsrecht" 1933, Heft 25, str. 47.

dną nałożone na właścicieli (konstytucją) obowiązki, a zwłaszcza obowiązek należytego uprawiania ziemi przez jej posiadacza; to konsekwencja nędz powojennych, związana z kwestją wyżywienia ludności [40]), konsekwencja może i prawdopodobnie przejściowa.

Wprowadzenie na widownię konstytucyjną owej funkcji społecznej prawa własności, złączenie tego prawa z pojęciem wypływających zeń obowiązków wobec społeczeństwa, nie odbiega zresztą, jak widzieliśmy, od owej teorji kanonistycznej, której i dziś dają wyraz dostojnicy kościelni, biadający, iż ustrój kapitalistyczny doprowadził do nadużycia prawa własności prywatnej, której najwyższą racją jest dobro ogólne, gdyż na każdej własności ciąży „serwitut społeczny" [41]). Gorzej już przedstawia się rzecz z konfiskatą na rzecz ogółu „niezasłużonego przyrostu wartości nieruchomości" (art. 155 Konst. niem.). Bo czy społeczeństwo lub państwo zwróci właścicielowi uszczerbek, powstały przez obniżenie tej wartości? [42]).

---

[40]) Ankieta konstytucyjna, jak wyżej, str. 360.

[41]) „Nowe Państwo" II, z. 4/8, str. 161, nast.

[42]) O pracy i **własności** mówił Adolf H i t l e r na narodowo-socjalistycznym zjeździe (w czasie od 1 — 4 września b. r.) w Norymberdze: „Es ist weder logisch, noch moralisch, noch gerecht, auf die Dauer in einem Volk dem Arbeitstätigen einen Teil der Früchte seines Fleisses wegzunehmen zur Erhaltung des Arbeitsuntätigen, ganz gleich aus welchen Gründen dies erfolgt, sondern es wäre logisch, statt von den Ergebnissen der Arbeit wegzunehmen, diese selbst zu verteilen".

W tem upatruje H e l e m a n n: Mitteilungen des Jenaer Instituts für Wirtschaftsrecht, 1933, Heft 26, str. 30 n., „Sicherstellung des Tätigen gegen die lähmende Fessel des Abgebenmüssens"—zorganizowanie prawa do pracy jako naturalno-prawnego postulatu, jako zasadniczego prawa narodu. Ale najbardziej podnosi on znczenie mowy norymberskiej co do **własności**. Hitler uczynił tam „niespodzianą paralelę z mocą państwową". „Eigentum ist Macht, Herrschaft, Haben im ökonomischen Bereich. Staatsmacht dasselbe im politischen Bereich. .....Wenn man **differenziertes Eigentum** anerkennt, statt öden, gleichmachenden Kommunismus, dann muss man auch bei der politischen Machtverteilung Unterschiede... anerkennen". To „stopniowanie", czy „zróżniczkowanie" własności łączy się u H i t l e r a organicznie z „różnością" świadczeń i ras. „Die primitive Fähigkeit der einen Rasse schafft von vornherein andere Werte, als die höher

Inaczej, niż w Rosji i Nimczech, ukształtowały się stosunki prawne własności w faszystowskiej Italji. Mussolini podkreśla, że w zasadzie utrzymano tam gospodarkę prywatną głównie w celu poparcia swobodnej inicjatywy [43]). Wprawdzie i tam odezwało się hasło „gospodarki planowej", wprawdzie nad kapitałem i pracą góruje tam państwo, biorące je przymusowo w swą służbę, lecz bądz co bądź ani w ustawie korporacyjnej z r. 1926, ani w Carta del Lavoro z r. 1927, ani wreszcie przez utworzenie Camera Cooperativa, czy Gran Consiglio del Fascismo w r. 1928 własność, jako prawo, naruszoną nie została, mimo częstego zaznaczania interesu społecznego, któremu ma służyć przedewszystkiem praca ludzka, będąca „obowiązkiem socjalnym". Państwo zawodowo-stanowe, „korporacyjne", sięga więc raczej faktycznie, niż prawnie, w prawo własności przez swe nakazy, np. co do odpowiedniej uprawy gruntów, lecz samo to prawo jest nadal chronione zarówno jako prawo jednostki, jak dla ogólnego dobra, to jest ze względu na cele społeczne. Teza VII wspomnianej Karty Pracy mówi, że Państwo Korporatywne uważa inicjatywę prywatną w dziedzinie produkcji za najskuteczniejszy i najpożyteczniejszy instrument w służbie narodu. Teza IX zaś stwierdza, że państwo wkracza w produkcję gospodarczą tylko wtedy, gdy zachodzi brak lub niedostateczność inicjatywy prywatnej, albo gdy wchodzą w grę interesy polityczne państwa. Uchylenie podatku od sukcesji o charakterze progresywnym w sukcesjach między najbliższymi

---

antwickelte oder anders geartete des Lebenspartners. Damit aber wird die Verwaltung einer Aufteilung verfallen, die von der Berücksichtigung der Leistung ausgeht. Das heisst m. a. Worten: das Geschaffene wird als Eigentum in dem Masse wieder verwaltet, als es entstand, Der Gedanke des Privateigentums ist daher unzertrennlich verbunden mit der Ueberzeugung einer verschiedenartigen u. verschiedenwertigen Leistungsfähigkeit der Menschen u. damit wieder mit der Verschiedenartigkeit und —wertigkeit der Menschen selbst".

[43]) Mitteilungen des Jenaer Instituts für Wirtschaftsrecht 1933, Nr. 25, str. 35 n.

krewnymi (za którym to przykładem poszła niedawno Polska, zmniejszając ten podatek) [44]), nie świadczy także o zamiarach naruszania samej istoty prawa własności w królestwie Italji.

Jakże u nas odbiły się te zasady, te rzekomo nowe hasła, czy nawet przepisy konstytucji powojennych? Otóż stwierdzono [45]), że w odpowiedziach na Ankietę Konstytucyjną zbyt mało poświęca się uwagi rozdziałowi o powszechnych prawach i obowiązkach obywatelskich, w rzędzie których znajdują się przepisy o prawie własności. W uwagach zaś, które poświęcono tej kwestji, odbija się tylko echo haseł „romantycznych" z lat 1920 i 1921, kiedyto mówiono o coraz bardziej postępującej socjalizacji prawa prywatnego [46]), mającej rzekomo zgnieść, a przynajmniej podważyć mocno pojęcie własności, jako prawa podmiotowego, ze względu na t. zw. ideał absolutny, jakiem jest dobro ogółu. Lecz zdawna było i jest wiadome, że z dwóch wielkich działów prawa w prawie prywatnem, oddanem w zasadzie na usługi indywidualności, tkwi w stosunkowo znacznej mierze (również) czynnik społeczny, choć formalnie jednostka i jej prawa, autonomja jej woli, wybijają się tu na plan pierwszy. Nie wynika stąd jednak, aby dobro społeczne mogło zupełnie wyrugować prawa jednostki, prawa podmiotowe. Są wprawdzie zdawna znane poglądy, negujące istnienie, konieczność istnienia i potrzebę odróżniania tych praw. Lecz rezultatów kultury prawnej, jak mówiłem jeszcze w roku 1922 [47]), nie można przekreślić wywodami, które usiłują zastąpić ich miejsce bądź „dostojnym" płaszczem wszechwładzy, bądź grą słów lub pu-

---

[44]) Patrz taryfę opodatkowania spadków i darowizn w ustawie z 14/3 1933 Nr. 21 poz. 141 Dz. U. Rz.

[45]) „Nowe Państwo", jak wyżej, str. 106 n.

[46]) Ankieta konstytucyjna Czasopisma prawn., j. w. str. 377 n. i cytowane tam pisma Wł. L. Jaworskiego.

[47]) „Powszechne obowiązki i prawa obywatelskie", str. 5 uw. 1.

stką. Kto ma obowiązki prawne, ten musi mieć zapewnioną możność nabywania praw, a cofanie się wstecz w rozwoju kultury prawnej nie prowadzi ani do postępu społecznego, ani do wyjaśnienia zjawisk społecznych i zrozumienia ich istoty lub określenia ich pojęcia. Podobnie nie prowadzi do celu upatrywanie w normach konstytucyjnych jakichś złotych myśli tylko, haseł, a nie przepisów prawnych, postulatów, reguł moralnych lub zapowiedzi norm przyszłych. I dziwne naprawdę wydaje się twierdzenie, że konstytucyjne powszechne prawa obywatelskie zostały już urzeczywistnione oddawna, więc nie potrzeba ich powtarzać w zreformowanej konstytucji [48]). Mówią tak niektórzy fanatyczni zwolennicy t. zw. prawa społecznego, wieszczący „nową rolę i nowy charakter" państwa, jakby odkrywali Amerykę, jakby dopiero teraz, w naszej najświeższej dobie „dochodziło do głosu społeczeństwo i jego potrzeby", jakby t. zw. socjalizacja życia, omnipotencja państwa, jego charakter społeczny i władzy i t. p. hasła były nowościami niepodejrzanej oryginalności. Wszak każde „dziecko prawnicze" wie o tem dobrze, że państwo jest organem „społeczeństwa, w którego interesie służy mu nadrzędność w stosunku do obywatela"! Ale z tego nie wynika, aby ten obywatel ze swemi prawami miał być przez państwo zgniecony na miazgę. Jak z jednej strony ostre, bezwzględne przeciwstawienie państwu praw jednostki, w tem znaczeniu, że ona ma być „wyzwolona (możliwie) z wszelkich więzów", doprowadza do wyników fatalnych, tak też zduszenie swobodnej inicjatywy, zgniecenie praw indywidualnych i tym podobne środki rządzenia — odbiją się w końcu z pewnością na należytem spełnianiu obowiązków prawnych, zamiast dobra ogólnego niosąc niekorzyści społeczne. Bo remedium na to dobro znajdziemy jedynie w „stałej harmonji" obu idei: indywidualnej i społecznej, gdyż wów-

---

[48]) „Nowe Państwo" i. w. str. 129 n.

czas zapewnioną będzie „la plus grande liberté compatible avec la plus grandes solidarité“ [42]).

Innemi słowy, gdy chodzi o takie instytucje, jak rodzina lub własność, niema, nie powinno być ostrego przeciwstawienia sobie indywiduum i państwa, albowiem służyć mają zarówno pierwszemu, jak i drugiemu.

I państwo nie może sięgać za daleko w swych ingerencjach w sferę jednej i drugiej z tych podstawowych instytucji. Jeżeli dochodzi do tego, że państwo swą rolę ochronną w stosunku do nich i opiekuńczą zamienia na rolę bezwzględnego współużytkowcy, wówczas nastąpi zachwianie owej równowagi i harmonji, podobnie jak wówczas, gdy rodzina i własność nie poczuwa się do solidarności z państwem — pierwsza, zamknięta w swem ciasno — egoistycznem kółku, druga, polegająca na „schalten und walten“, na możności zniszczenia nawet, czy apodyktycznie bezmyślnego wyzyskania rzeczy tak, że nikt inny i nawet państwo samo żadnej z niej nie ma korzyści. Aż nadto znane są też ujemne skutki osłabienia wytwórczości indywidualnej przez przeciążenie własnaści prywatnej podatkami, przez czynienie tym sposobem problematyczną sukcesję nawet między najbliższymi krewnymi.

Wybuch ostatniej wojny przypisał jeden z wybitnych pisarzy angielskich [50]) przywiązaniu do prawa własności, temu, że pokolenie „wojenne“ rzekomo o niem tylko myślało. Spostrzeżenie to uważam za płytkie lub niedokończone. Gdyby to pokolenie z szacunkiem i uznaniem myślało o własności cudzej, nie byłoby powodu do wojny. Właśnie dlatego, że ono nie uszanowało praw własności, właśnie z powodu apetytów i zamachów na cudzę sferę prawną — rozpętała się burza, której ślady nie chcą zniknąć do dziś dnia nietylko w dziedzinie ekonomicznej, ale

---

[49]) Consentini,. j. wyżej, str. 11.

[50]) Galsworthy., cytowany w „Nowem Państwie“, j. w. str. 161.

również w dziedzinie etycznej i prawnej. Próby podważania rodziny i własności, próby budowania państw i społeczeństw na rzekomo zupełnie nowych podstawach, ciągła manja refomowania i poprawiania, kodyfikowania i nowelizowania [51]) — te ujemne przejawy dzisiejszego życia społecznego i państwowo-prawnego mają, jeśli nie swe bezpośrednie źródło, to w każdym razie swój pierwotny zaczątek w owym powszechnym kataklizmie, podobnie, jak i dzisiejsza nędza ekonomiczna, bezrobocie, ogólne niemal zachwianie równowagi finansowej.

Zasada, że „społeczeństwo przystosuje formy własności do nowych potrzeb“[52]), jest szkodliwym ogólnikiem, który — jako norma — może być nadużyty przez każdego „władcę“, przez każdego, kto w danej chwili ma przewagę w państwie. Mniej szkodliwą jest modna, choć, jak widzieliśmy, arcydawna teza, że prawo własności nakłada na właścicieli o b o w i ą z k i s p o ł e c z n e, a w s z c z e g ó l n o ś c i o b o w i ą z e k u ż y w a n i a r z e c z y w z g o d z i e z d o b r e m p a ń s t w a. Ale i tu ileż może być różnic pojęciowych co do owych obowiązków społecznych i co do „dobra państwa“, czy społeczeństwa — ileż odmian w sposobie przeprowadzenia takiego przepisu w życiu, w praktyce prawnej! Jeżeli w codziennem życiu prawnem napotykamy częstokroć zamachy na prawo własności, jeżeli ono je „nadkrusza i łamie“, to tembardziej powinniśmy silnie zabezpieczyć to prawo w Konstytucji, aby mieć w niej tamę ustrojową, przeszkodę, niedającą się zlekceważyć przy faktycznych usiłowaniach przewrotu w naszym ustroju państwowo-prawnym. Dlatego lepiej konieczne ograniczenia własności formułować w sposób b a r d z i e j k o n k r e t n y, zakazując np. pozostawiania odłogiem ziemi, nadającej się pod uprawę lub

---

[51]) Por. mój artykuł: „Przekleństwo nowelizacji“, drukowany w lwowskim „Głosie Prawa“.

[52]) Projekt P. P. S. (por. „Nowe Państwo“, jak wyżej).

niewynajmywania prywatnych bndynków w miejscowościach, w których brak mieszkań daje się we znaki.

Ostrożne też trzeba zająć stanowisko wobec pomysłu nałożenia na właściciela obowiązku osobistego uprawiania roli, lub administrowania nieruchomością miejską; jeżeli tylko jego nieruchomość odpowiednio jest zużytkowana, prawodawca nie może, mojem zdaniem, wysnuwać dla właściciela niekorzystnych konsekwencji z faktu, iż on np. z powodu choroby, lub pełnienia jakichś funkcji publicznych nie może się tem zająć osobiście i wyręcza się bądź przez członków rodziny, bądź przez dzierżawców lub fachowych rządców. Przecież państwo i społeczeństwo nic na tem nie traci, może nawet zyskuje, a sama zazdrość wobec beati possidentes nie może być motywem postanowień legislacyjnych, naruszających prawo własności.

Zresztą potrzebę popierania inicjatywy prywatnej, otwierania jej jak największego pola działania podkreślają nawet ci, co występują wrogo przeciwko prawu własności, przez co, mojem przynajmniej zdaniem — wpadają w sprzeczności sami z sobą [53]). Bo jakże potem negować prawo człowieka do wytworu własnej inicjatywy, własnej pracy? Bo poco powtarzać bajki o władaniu ziemią jedynie na podstawie t. zw. prawa miecza, kiedy nabycie jej na własność pochodzi z uczciwego, „krwawego" nieraz zarobku?

Gdzieindziej już zaznaczyłem moje stanowisko co do autonomji prawa prywatnego i praw podmiotowych, które uważam za nie dającą się wzruszyć bezkarnie podstawę porządku prawnego. Ale ze stanowiska tego, choć jest ono zasadnicze, nie wynika jeszcze wcale, aby principia takie, jak nienaruszalność własności, wolność osobista, wolność umów i testowania — wzorem naturalistów — uważać za prawdy wieczne, które nie mogą być poddane żadnej,

---

[53]) B. Russel: Przebudowa społeczna, j. w. str. 63.

nieznacznej nawet rewizji. Temu właśnie zapatrywaniu, że bez pewnej r e w i z j i zasad rzeczonych w przyszłym polskim kodeksie cywilnym obyć się nie może, dałem wyraz w rozważaniach moich p. t. „Przed projektem polskiego kodeksu cywilnego. I. Szkic programu“. Nie chcę już na tem miejscu wchodzić w bliższe uzasadnienie tej kwestji, na które znajdzie się miejsce w uwagach, poświęconych kodyfikacji prawa cywilnego. Wspominam ją tylko dlatego, że myśl, wypowiedzianą przezemnie, uznano za bardzo ryzykowną i niebezpieczną, za „bakterję w świecie duchowym“, wobec której mniejszem złem będzie pozostawienie na ziemiach polskich stanu dotychczasowego, uświęconego zaborami, stanu scharakteryzowanej już wyżej bezprzykładnej różnolitości ustawodawstwa. Nigdy nie miałem wrażenia i nie poczuwałem się do winy, żebym, stojąc silnie na gruncie prawa prywatnego, miał czemkolwiek przyczyniać się do siania „miazmatów niezdrowej demagogji, przesiąkającej z terenów życia publicznego w arterje społecznego i prywatno-prawnego bytu“. Ale chciałbym zapytać, czy jest możliwe, czy jest do pomyślenia przystąpienie do pracy kodyfikacyjnej bez zdania sobie sprawy z istoty i znaczenia prądów społecznych danej doby, z pominięciem zupełnem tego, co się już utrwaliło w tej mierze, przy zlekceważeniu zasad i przepisów Konstytucji? Prawda, że kodyfikator nie jest, nie powinien być w zasadzie czynnym politykiem, jeżeli ma kodyfikować „z niczem niezamąconą przedmiotowością“. Ale czy można mówić o przedmiotowości, gdy ktoś nie zna przedmiotu, gdy nie ma o nim wyrobionego sądu? Projektodawcy wielkich ustaw nie powinni brać zapewne czynnego udziału w walkach społecznych swej doby — tem pilniej zato, z tem większą uwagą, powinni je śledzić celem wydobycia z nich przedmiotowej konkluzji dla swych projektów. Czyż więc np. zasada wolności umów ma być tak świętą, że przeszkodzi nam do uznania za nieważne różnych umów, wykraczających prze-

ciw dobrym obyczajom i do zwiększenia ich dotychczasowego zakresu, jeżeli w danem społeczeństwie państwowem umowy takie mnożą się w sposób zastraszający?

Lecz może rewizję zasad, o której mówiłem, lepiej zostawić innemu jakiemuś państwu, nie mającemu tak „zatrutego sąsiedztwa“, które więc z większą korzyścią dla rozwoju prawa cywilnego będzie mogło torować drogę na tem (jak się wyrażono) pełnem ryzyka i wybojów boisku socjalnego ruchu? Ale liczyć się należy z tem również, że „burzliwość“ epoki naszej, przesiąknięcie jej owymi miazmatami, może się spotęgować jeszcze o wiele więcej, że mogą przyjść do nas z realną już naprawdę siłą prądy, daleko bardziej radykalne, nie poddające rozumnej rewizji, lecz niweczące wprost samą instytucję własności prywatnej! Prądy, wobec których „pewna rewizja“ zasad przedwojennych, nieunikniona z pewnością, byłaby tylko „dziecinną igraszką“.

Liczne przykłady z dziedziny naszego ustawodawstwa, ograniczającego prawo własności ziemskiej i protegującego bezrolnych i małorolnych, niektóre rażące istotnie w krańcowości, inne, będące zdaniem niektórych autorów jaskrawym przykładem niesprawiedliwości i braku należytego poczucia prawnego — nie mogą nic zmienić istotnie w tem, co powiedziałem wyżej. Nie usprawiedliwią one tezy o braku powołania naszego czasu do stworzenia kodeksu cywilnego, który w ł a ś n i e m o ż e o w e b ł ę d y i b r a k i s p r o w a d z i ć d o w ł a ś c i w e j g r a n i c y, przeprowadzając odpowiednią „rewizję“ obowiązującego ustawodawstwa także in puncto prawa własności i jego ograniczeń. Gdzież zresztą nie było „reform rolnych“ i czy mało państw przeprowadziło je w dzisiejszej dobie i to w szybszem nieraz tempie i w dalej idących, niż u nas, rozmiarach? Ustawowa „ochrona lokatorów“, „błogosławiona w skutki“, nosi w sobie również wiele odbiegnięć od przyjętych dotąd zasad, a nawet istotnych niespra-

wiedliwości, nie pozwalając np. na podwyższenie czynszu najmu wzbogaconemu spekulantowi, albo na wypowiedzenie najmu lokatorowi zamożnemu, celem pomieszczenia obarczonej dziećmi wdowy lub siostry właściciela. Zamiast dochodzenia i karania istotnych, nienaciągniętych występków lichwy mieszkaniowej, zamiast skorzystania, przynajmniej na niektórych terenach państw, z ustaw o prawie budowania na cudzym gruncie, zamiast odpowiedniej akcji związków społecznych w kierunku wprowadzenia w czyn, umożliwienia takich budowli, aby mogły korzystać z nich osoby niezamożne — ciągle przedłużano moc obowiązującą ustaw o ochronie lokatorów. Sposób myślenia cywilisty nie może się też pogodzić z punktem widzenia „skarbowym", iż właściciel nieruchomości miejskiej obowiązany jest płacić podatek lokatorski, choćby go prawodawca finezyjnie nazwał podatkiem od lokali [54]). Te i inne przykłady — właśnie dlatego, że nieraz bardzo rażące — wskazują na piekącą potrzebę wkroczenia czynnika, któryby umiał zaradzić złemu zasadniczo i trwale, wskrzeszając zachwiane poczucie prawne, poskramiając apetyty kosztem drugich, jednem słowem: postanawiając w najpoważniejszej z ustaw prywatno-prawnych, w kodeksie cywilnym, miarą nieprzekraczającą, a w każdym razie taką, nad której przekroczeniem, zanim ono nastąpi, dobrze będzie musiał zastanowić się i niejedną noc (nie śpiąc) „przespać" prawodawca [55]).

Stanisław Gołąb

---

[54]) Vide ustawa z 2 sierpnia 1926, Dz. U. Nr. 94, poz. 550 o „podatku od lokali".

[55]) Patrz pismo „Nasza Przyszłość" 1933, T. XXVIII, str. 1 i następne.

SPRAWA KRÓLOWEJ JADWIGI.

Solidny człowiek, to ten, który rzecz rozpoczętą doprowadzi porządnie do końca. Solidny naród, to również taki, który powzięte zamierzenie umie do skutku doprowadzić. Tylko rezultat, tylko fakta mają istotne znaczenie, reszta — to frazesy.

Podniósł się naród polski w roku ubiegłym do uczczenia swej największej, świętobliwej Królowej, której więcej zawdzięcza, niż to sobie powierzchowna opinja wyobraża. Przeszły przez kraj wspaniałe obchody, z udziałem—razem wziąwszy — setek tysięcy ludzi. Oprócz obchodów, planowo inscenizowanych w głównych centrach kraju, widzieliśmy i pomniejsze, ale niemniej wartościowe, bo spontanicznie aranżowane, na prowincji.

A co jeszcze bardziej chwalebne i pocieszające, to fakt, że kult Królowej Jadwigi i zainteresowanie jej historyczną postacią, życiem i rolą zaczynają coraz bardziej pogłębiać się i rozpowszechniać w społeczeństwie, zarówno u ogółu sfer inteligencji, jak i w sferach naukowych. Pojawiają się naukowo-historyczne rozprawy o Królowej, inne — jak nam wiadomo — są w opracowaniu, pojawiają się raz po raz artykuły w prasie i w innych perjodykach z pod piór męskich i żeńskich. Zareagowała i zagranica. Na Węgrzech odezwała się sprawa kanonizacji Królewny andegaweńskiej bardzo sympatycznem echem, a w roku ubiegłym ukazała się obszerna, świetnie napisana książka p. Karoliny Kellog w języku angielskim, przetłumaczona już na polski, p. t. „Jadwiga, wielka królowa Polski“. Opracowane zostało to dzieło przy pomocy wskazówek i materjałów, dostarczonych autorce przez szereg wybitnych uczonych polskich, węgierskich, austrjackich, niemieckich, amerykań-

skich i t. d. i przy zużytkowaniu dokumentów, odnoszących się do danej epoki, a rozmieszczonych w bibljotekach kilkunastu państw z tej i tamtej strony Atlantyku.

Ze strony Episkopatu polskiego wydał J. E. ks. Arcybiskup Sapieha, jako Ordynarjusz krakowski, w jesieni ubiegłego roku gorącą odezwę do społeczeństwa, wzywającą ogół społeczeństwa do współdziałania w dziele starań o kanonizację. Równocześnie zaprosił szereg osobistości, zajmujących się specjalnie tą sprawą, lub specjalistów naukowych do komitetu, mającego za zadanie opracowywanie materjałów dokumentarnych i dostarczenie w ten sposób podstaw procesowi kanonizacyjnemu. Ojciec św., któremu usiłowania te społeczeństwa polskiego referowane były już przez naszych X. X. Biskupów i z innej strony w ciągu ubiegłego roku, zajął również bardzo przychylne stanowisko dla tej sprawy.

Zostały więc w r. 1933 położone wszystkie niemal zasadnicze podwaliny do oficjalnego wszczęcia sprawy w kraju i w Rzymie. A tem przychylniejszą jest dla niej obecna atmosfera, że ogólny prąd w kierunku podnoszenia zasług świętobliwych osobistości i wywyższania ich na ołtarze Świętych wzmógł się dzisiaj w całym świecie katolickim. Słyszymy ciągle o wdrożeniu coraz nowszych starań, a nawet procesów beatyfikacyjnych, które odnoszą się do uczczenia różnych świętobliwych postaci z ostatnich wieków, nawet z ostatnich niemal czasów. Odbyła się z końcem zeszłego roku uroczysta kanonizacja Bernadetty z Lourdes.

Dany więc bardzo poważny początek w kraju i czas i warunki sprzyjają wielce naszemu doniosłemu przedsięwzięciu. Sprzyja mu wszystko, co usiłuje walczyć z rozpanoszonem na świecie władztwem bezbożnictwa i głębokiego upadku moralności. Sprzyja jej wreszcie i nie na ostatku fakt politycznego odrodzenia i mocarstwowego wzmacniania się naszej Ojczyzny, w której ogół społeczeń-

stwa katolickiego — pomijając nieliczne a cyniczne wyjątki niedowiarków i zarozumiałych niedouków — wierzy mocno w świętobliwość i opatrznościową rolę dziejową Królowej Jadwigi.

Ale właśnie dlatego, że wielka ta sprawa tak poważnie już wszczętą została i w tak sprzyjających ogólnych warunkach, naród polski wystawiony został na wielką próbę, w której ma dowodnie wykazać, czy jest już istotnie odrodzonym wewnętrznie narodem, zdolnym do zrozumienia ważnych momentów dziejowych swego położenia i zdolnym do konsekwentnego realizowania pewnych problemów zasadniczych?

A odpowiedź na to wielkie pytanie, na tę doniosłą dziejową próbę, może brzmieć tylko krótko: tak lub nie — zależnie od dokonania lub niedokonania przez naród wielkiego zadania. Wszelkie dyskusje i usprawiedliwiające bierność argumenty żadnego nie będą tu miały znaczenia. Historja spyta zwięźle: czy wskrzeszona Polska zrobiła, co należało, aby kanonizację swej wielkiej królowej osiągnąć? Jeżeli odpowiedź wypadnie negatywnie, to będzie ona druzgocącem oskarżeniem narodu polskiego nietylko o brak głębszych uczuć religijnych, ale i o — brak tężyzny i niezdarność polityczną!

Masońska w znacznej części Francja, z której przez sto lat, poprzedzających wojnę światową, wychodziły najcięższe, najzaciętsze, najperfidniejsze ataki na Kościół i Wiarę, w której niedawno jeszcze zamykano kościoły i wypędzano zakony i gdzie dzisiaj najbardziej kompromitujące rozgrywają się skandale, zdołała jednak — w wymownem przeciwieństwie do tak głębokiego moralnego upadku — wynieść w ostatnich kilkudziesięciu latach szereg wybitnych swych narodowych postaci na ołtarze Świętych. Katolicki ogół francuski, prześladowany w wierze raz po raz przez masońskie rządy, zdołał dokonać tych trudnych dzieł nawet w momentach bezpośrednich zatargów rządu

francuskiego z Watykanem. Zdołał tego dokonać — gdyż podejmował te sprawy bardzo na serjo, z zapałem nieraz godnym pierwszych Chrześcijan, z entuzjazmem, zaprzeczającym rozpowszechnionej opinji o skrajnym niby materjaliźmie francuskiego chłopa i rentjera.

To się dzieje tam — w „masońskiej“ Francji. A prąd ten w i a r y c z y n u jest tam tak potężny, że zmusił do współudziału w kulcie Joanny d'Arc nawet oficjalnych przeciwników Wiary, nawet dyplomatów innowierczej Anglji, która oskarżyła ongiś św. Joannę o czary i zmusiła uległych Francuzów do spalenia jej na stosie. Tak jest tam!

A jakże w Polsce, w tej Polsce, która chlubi się, że była i jest „semper fidelis“? W tej Polsce, która ma dzisiaj tak olbrzymi dług wdzięczności do spłacenia Bogu, „którego ramię sprawiedliwe żelazne berła władców świata kruszy“, aby nam wolność polityczną i bezpieczny rozwój narodowy zapewnić? Wszak nietylko Ramię to skruszyło berła trzech zaborców, ale i dziś jeszcze kruszy kolejne zakusy wrogich sił, które zdają się nam grozić. Wszakże tak niedawno jeszcze rozbrzmiewało po kraju złowróżbne memento „żelaznych kleszczy“ rosyjsko-niemieckich, grożących młodemu państwu „sezonowemu“. A oto Ramię Sprawiedliwe odsuwa od nas jedną stronę tych cęgów, paraliżuje przez to i drugą i układa pomyślną dla Polski konstelację w Europie. Zapewne, działali tu ludzie, ale czyż może umysł, objektywnie, sprawiedliwie sądzący, nie dostrzec cudownej woli Opatrzności!

I dlatego właśnie pozwalamy sobie twierdzić, że naród polski wystawiony jest obecnie na wielką próbę, w której ma wywdzięczyć się Opatrzności i zdać zarazem egzamin ze swej głębszej zdolności państwowo-twórczej i zarazem ze swego prawdziwego przywiązania do Wiary. A w tym celu musi przedewszystkiem trochę drobnych, wewnętrznych trudności pokonać. Bo nietyle wielkie środki są tu potrzebne, nietyle jakaś na ogromną skalę rozwinię-

ta, kosztowna akcja. Wszak sprawa Królowej Jadwigi jest tak już u nas głęboko ugruntowana i z taką nawet zagranicą spotyka się sympatją, że żadnych wstępnych, żmudnych i kosztownych akcji podejmować nie trzeba. Wszak chodzi o postać i imię, rozsławione po całym świecie. Sprzeciwiać się będą Krzyżacy, czy to z pod znaku czarnego, prostoramiennego krzyża, nadużytego na białym płaszczu, czy z pod znaku swastyki. Ale w danych warunkach walki tych obu znaków na niemieckiej ziemi, sprzeciw ten nie będzie chyba aż tak wielki, jaki był pod Grunwaldem. Pokonamy go łatwo, jeżeli tylko wyzwolimy się z pod hipnozy respektu przed krętacką nieraz wiedzą „niemieckiego profesora“, który zawsze, a zwłaszcza dzisiaj, służył i służy posłusznie nakazom krzyżackiej racji stanu.

Nie w tem więc trudność leży, ale — powiedzmy śmiało — w naszem nieszczęsnem usposobieniu narodowem, które nigdy niczego ni umie b r a ć na s er j o na nieco dłuższą metę. Łatwy entuzjazm chwilowy, hasło, sensacja, manifestacje, chorągiewki, przemówienia, parę okolicznościowych artykułów prasowych, parę odezw patrjotycznych o napuszonym stylu i na tem zwykle — koniec! A potem wraca każdy do swych doraźnych interesów, do swego osławionego „nawału zajęć“, którym się każdy z reguły od każdej na serjo doniosłej sprawy u nas wymawia.

Społeczeństwo nasze chce żyć ciągłą sensacją, ciągle jakiemś nowem podnieceniem, które szybko się znudza, ustępując miejsca następnemu. A sprawa kanonizacji Królowej Jadwigi wymaga imperatywnie potraktowania jej na serjo, co się nazywa: na serjo. Nie wolno nużyć się nią, nie wolno nikomu, kto się w niej przydać może, wymawiać się „nawałem zajęć“. Jeżeli pewne jednostki lub zrzeszenia, których moralnym obowiązkiem jest w pierwszym rzędzie sprawie dopomóc piórem, słowem, lub propagandowym czynem, mają chwilowo istotnie dużo zajęcia, to niechże nie przesadzają sobie, nie wyolbrzymiają istotnej ważności tych za-

jęć codziennych, ale część ich odłożą na później, a poświęcą odpowiedni ułamek swego czasu i pracy na dopomożenie wielkiej sprawie. Niech uczony polski, będący w trakcie opracowywania jakiejś szczegółowej rozprawy z drobnej historycznej dziedziny, odłoży ją na bok, a zwróci się do dokumentów, które mogą pomóc w procesie kanonizacji. Możemy go zapewnić, że daleko większą przysługę odda nauce i krajowi i daleko więcej utrwali swe imię, niż żmudnem opracowaniem jakiejś innej dziedziny, bezwzględne mniej doniosłej w tej chwili z każdego punktu widzenia. Niechże wyraźniej, mocniej wystąpią z kultem Królowej zrzeszenia katolickie; wszak to najskuteczniejsza w tej chwili platforma, aby religijne i patrjotyczne uczucia ogółu zespolić i porwać go entuzjazmem dla Wiary i Ojczyzny. Niech ruszą się z akcją polskie kobiety. To ich przecież także par excellence rola! Wiemy, jak dzielnie umieją się krzątać koło swych różnych zrzeszeń i zamierzeń. Wszak słusznie tak się nieraz chlubią różnemi swemi akcjami, zjazdami, pokazami gospodarczymi i wogóle działalnością obywatelską. Nechże choćby tę samą tylko gorliwość wykażą w poparciu kultu wielkiej polskiej kobiety! A inni niechże choć trochę potrafią oderwać się od tego nieznośnego, drobnostkowego aktualizmu politycznego i gospodarczego, któremu z tak grubo, zdaniem naszem, przesadzoną afektacją się oddają i okażą choćby trochę dobrej woli, zrozumienia i poparcia dla sprawy, która na dalszy rozwój ducha w społeczeństwie i stosunków w państwie donioślejszy wpływ wywrzeć może, niż się tego w dorywczej swej mentalności domyślają.

Osiągnięcie kanonizacji Królowej Jadwigi jest w pierwszym rzędzie kwestją natury psychologicznej na polskim gruncie. Jeżeli tylko Polacy zechcą, jeżeli wszyscy, do tej pracy z natury rzeczy powołani, zdołają oderwać się częściowo od swych pospolitych — a jakże często jałowych!— zajęć codziennych i skierować pewną dozę swej energji na

serjo do wielkiego zadania, to osiągnięty zostanie pięciowiekowy postulat religijno-historyczny narodu. Inaczej trudno o tem myśleć.

Pamiętajmy tylko, jak łatwo wywołują entuzjazm lub przynajmniej gorące zainteresowanie różne, w istocie drobne, a tylko reklamowe przedsięwzięcia, o przemijającem znaczeniu. Jak rozpisują się o tem gazety, jaki hałas idzie po kraju, jakie zainteresowanie po związkach, biurach, zebraniach i salonach. Z jakim snobizmem pilnują wszyscy uczestnicy danej imprezy, aby byli skrupulatnie wymieniani w artykułach i na zdjęciach, ilustrujących różne reklamowe obchody. Z jakąż bezkrytyczną nieraz gorliwością pędzą ludzie, aby brać udział w różnych sensacyjno-politycznych lub gospodarczych, lub krasomówczych atrakcjach! A są to przecież często efemerydy, których oddźwięk ginie przed upływem dni kilku lub kilkunastu, poczem woda zapomnienia po nich przepływa...

A tu chodzi przecież o rzecz prawdziwie wielką, o wiecznej doniosłości, której sam fakt realizacji może przekuć trwale i korzystnie psychikę i losy narodu!

Jan Bobrzyński

LITERATURA LITEWSKA.

Język litewski jest jednem z najstarszych narzeczy szczepu indo-europejskiego. Podczas, gdy inne języki europejskie, ulegając ewolucji rozwojowej, przejęły obficiej formy słowne, język litewski, bardziej, niż jakikolwiek inny, zachował w składni swej formy imienne.

Nie bez słuszności zwracają i dziś jeszcze lingwiści uwagę na niejakie podobieństwo litewszczyzny do starożytnego sanskrytu.

Podobnie, jak język polski, jak i inne języki indoeuropejskie, posiada litewski kilka djalektów. Podział zasadza się na narzeczu górnolitewskiem (l i e t u v i s z k a k a l b a), oraz narzeczu dolnolitewskiem, czyli żmudzkiem (ż e m a i t i s z k a k a l b a). Granica obu tych djalektów biegnie wzdłuż Niemna.

Piśmiennictwo litewskie rozwinęło się stosunkowo późno. Początki jego odnieść należy do pierwszej połowy wieku XVI-ego. W dużym stopniu do powstania i do rozwoju piśmiennictwa tego przyczyniła się żywo podówczas rozpowszechniająca się na Litwie reformacja. Do walki ze schizmą stanęło duchowieństwo katolickie, głównie zakon Jezuitów. On to wszczął energiczną działalność w obronie zagrożonego katolicyzmu: przyczynił się do powstania akademji wileńskiej, aby się młodzież mogła kształcić w kraju i nie zawlekała z zagranicy reformatorskich „nowinek". Nadto zakładają Jezuici gęstą sieć szkół przy kolegjatach, a wreszcie powodują powstanie piśmiennictwa. Literatura ta nosi wyłącznie charakter religijny, polemiczny, publicystyczny, jakbyśmy się dziś wyrazili.

Jednocześnie atoli z akcją duchowieństwa katolickiego staje do walki obóz protestancki. Sekularyzacja Prus, do-

konana w r. 1525 przez Albrechta Hohenzollerna, który Zakon Krzyżowy przekształcił w państwo świeckie o panującem wyznaniu luterskiem — spowodowała przystąpienie do reformacji również wielu Litwinów, zamieszkujących Prusy. Albrecht zakłada w Królewcu protestancki uniwersytet, ściąga na katedry Litwinów, uchodzących z kraju spowodu wyznaniowych prześladowań, ustanawia stypendja, finansuje książki litewskie, pisane w duchu protestanckim i t. d.

Rzecz znamienna, że pierwociny piśmiennictwa litewskiego mają miejsce w tym czasie dopiero, kiedy zagranicą, w państwach zachodnich, literatury przeżywały swój najwspanialszy okres rozkwitu, Odrodzenia.

Kiedy we Włoszech rozbrzmiewała wspaniała poezja Dantego i Petrarki, we Francji — poezja Ronsard'a, a w Polsce — Reja, Kochanowskiego, Sarbiewskiego i in. — na Litwie rodzi się dopiero ubożuchne piśmiennictwo, którego nie można jeszcze nazwać literaturą piękną. Powstają tutaj raczej wydawnictwa o charakterze utylitarnym, propagandowym niejako. Są to jeszcze tylko i wyłącznie katechizmy, kalendarze, słowniki i modlitewniki.

Pierwszą litewską książkę napisał Marcin Możwid (Martynas Mażwydas Vaitkunas). Był to protestancki katechizm: „Catechismus prasty szadei", jak się nazywał w oryginale. Drukowano tę książkę w Królewcu w roku 1547. W tym samym roku ukazał się pierwszy litewski elementarz: „Pygus ir trumpas mokslas skaititi yr raschity".

Autorowie tych książek wyrażają we wstępie ubolewanie, iż wśród Litwinów, jakkolwiek tak dawno ochrzczonych, wciąż jeszcze tkwią zakorzenione przesądy pogańskie, bałwochwalczy antropomorfizm, oddawanie czci boskiej ogniowi, drzewom, zwierzętom.

Baltramiejus Villentas, krewniak Możwida, przekłada na litewski Ewangelję, oraz szereg kazań protestanckich. Obok niego piszą inni: Augustinas Jomantas (Jamont), zm. w r. 1576, Aleksandras Rodunionis, zm. w r. 1583, Jonas Szeduikionis, Tomas Gedkantas, Mikolajus Błotnas.

Najwybitniejszym jednak okazał się pastor królewiecki, Jan Bretkunas (1532 — 1602). Jest on autorem dwutomowej „Postylli" i tłumaczem na litewski całego Pisma Świętego. Dzięki zaletom pióra, lekkości stylu, jego barwności i żywości, Bretkunas osiągnął dużą poczytność.

W r. 1598 Malcher Pietkiewicz, pisarz ziemski wileński, drukuje w Wilnie, w tłoczni Stanisława Wierzeyskiego, popularny „Polski z litewskim katechizm".

Przeciwko temu zalewowi książek o charakterze reformatorskim, schizmatyckim, wystąpili czynnie autorowie katoliccy. Na czele ich stanął kanonik żmudzki, Mikołaj Dauksza, tłumacz z polskiego słynnej „Postylli" Jakuba Wujka. Przekład ukazał się w r. 1599 z tłoczni akademji wileńskiej i stanowi znakomity pomnik poprawnej litewszczyzny XVI wieku.

Jezuita Konstanty Szyrwid ogłasza w r. 1629 „Punkty kazań od Adwentu do Postu, litewskim ięzykiem z wytłumaczeniem na polskie", a w r. 1644 „Punkty kazań na post wielki ięzykiem litewskim... napisane, a teraz na polski ięzyk przetłumaczone y oboiem do druku podane".

Już tytuły obu tych prac wymownie świadczą o tem, że społeczeństwo litewskie, dla którego książki były pisane, niezupełnie znało swój język. Nawet dla Litwinów pisząc, trzeba było dla zrozumienia tekstu posługiwać się przekładem polskim. Mówi to o szybko postępującej polonizacji społeczeństwa litewskiego.

Ów Konstanty Szyrwid (1564 — 1631), profesor akademji wileńskiej, pierwszy bodaj wprowadził na Litwie książki, pisane w obu językach. W ten sposób zdołał je rozpowszechnić wśród szerokich warstw społeczeństwa.

Jezuici dbali czujnie o czystość litewszczyzny. W tym celu, aby odchwaścić język z makaronizmów, polonizmów, rusycyzmów i innych obcych naleciałości, wydają w r. 1737 poprawną litewską gramatykę.

Z biegiem czasu, coraz bardziej ulegając kulturalnym i językowym wpływom Polski, Litwini zaniedbują swój język ojczysty. Daremnie w przedmowie do przekładu „Postylli" karci ks. Dauksza współrodaków za tę obojętność do litewskiego języka. Litewszczyzna powoli zamiera, kostnieje i coraz bardziej ustępuje placu polszczyźnie. Jeszcze tylko w Prusach odzywa się żywy ruch litewski, ale w Polsce, a więc w Wielkiem Księstwie Litewskiem, druków litewskich pojawia się coraz mniej.

Z Prus też pochodzi pierwszy wybitniejszy narodowy poeta litewski, Chrystjan Donalitius (1714 — 1780). Syn litewskiego chłopa, późniejszy pastor, napisał Donalitius heksametrem swoje świetne „Cztery pory roku". Poemat ten przedstawia realistycznie życie litewskiego wieśniaka, jego obyczaje, zatrudnienia, radości i niedole. Szczególnie barwnie i zajmująco odmalował autor urok litewskiego pejzażu. Poemat nosi cechy dydaktyczne, pouczające, moralizatorskie i wybitnie narodowe. Na wartości poezji Donalitiusa poznali się Litwini w wiele lat po jego śmierci. Wtedy dopiero należycie oceniono talent jednego z największych litewskich poetów.

*

* *

Z chwilą politycznego upadku Rzeczypospolitej kończy się pierwszy okres litewskiego piśmiennictwa. Nie jest on ani bogaty, ani specjalnie zajmujący. Jeden Donalitius jest tutaj przedstawicielem prawdziwej, rzetelnej sztuki.

Ten słaby rozwój piśmiennictwa tłumaczył się obojętnością społeczeństwa litewskiego na sprawy rodzimej sztuki. Warstwy wyższe, oświecone, kulturalne oddawna już

uległy polonizacji i zatraciły znajomość języka litewskiego. Pozostał tylko lud. Ale warstwy ludowe Litwy — i nie jednej Litwy tylko — pogrążone były w ciemnocie, w analfabetyźmie. W tych warunkach piśmiennictwo ani trwać, ani się rozwijać należycie nie mogło. Poprostu nikomu jeszcze nie było ono potrzebne.

Do powstania żywszego ruchu kulturalno-oświatowego wśród Litwinów przyczynił się dopiero uniwersytet wileński w swym najświetniejszym okresie, t. j. w pierwszej ćwierci XIX wieku.

Cały szereg wybitnych uczonych polskich podejmuje badania i studja nad kulturalną stroną litewskiej przeszłości. Do odrodzenia umysłowo-kulturalnego Litwy przyczyniają się atoli wyłącznie już sami Polacy, piszący tylko po polsku.

A więc Tadeusz Czacki pisze swe znakomite dzieło „O litewskich i polskich prawach“ (2 tomy, 1800 — 1801), stanowiące fundament dla późniejszych badaczów. Narbutt kreśli „Dzieje starożytne narodu litewskiego“ (9 tomów, Wilno, 1827 — 1841), a także „Pomniki do dziejów litewskich i t. d.“ (1846), Raczyński — „Kodeks dyplomatyczny Litwy“ (Wrocław, 1845), Działyński — „Zbiór praw litewskich od r. 1289 do r. 1529“ (Poznań, 1841), Kraszewski — „Litwa, starożytne dzieje, ustawy, język, wiara“ (2 tomy, Warszawa, 1847 — 1850), Studnicki — „Synowie Giedymina“ (Lwów, 1849), Bernatowicz zdobywa rozgłos europejski swą historyczną powieścią p. t. „Pojata, córka Lezdejki“ i t. d. i t. d.

Poczet polskich poetów (Mickiewicz, Syrokomla, Odyniec), uczonych (Szajnocha, Szafarczyk, Stryjkowski), powieściopisarzy (Kraszewski, Chodźko, Rzewuski, Bernatowicz), szpera w ruinach litewskiej historji, mitologji, archeologji, odgrzebuje spod pyłu i popiołów wizerunek rzeczywisty, lub urojony Litwy, stwarza, buduje, wznosi pomnik tej kultury, na której kiedyś, po latach, oprą się

budowniczowie nowej litewskiej narodowości i państwowości.

Zapewne, że i w tym okresie coś się również po litewsku pisze. Ale niewiele, ubożuchno, skromnie, bez wielkiego znaczenia. Więc szlagon żmudzki, Djonizy Paszkiewicz (1760 — 1831), więcej dla własnej zabawy, amatorsko raczej, niż z potrzeby, zajmuje się studjami nad litewskim językiem, bawi się układaniem słownika, pisze artykuły z dziedziny kultury litewskiej, wiersze, dłuższe poematy, satyry.

Inny pisarz tego okresu, ks. Antoni Drozdowski („Strazdelis“ 1763 — 1833), wywodzący się z rodziny chłopskiej, układa szereg pieśni świeckich i kościelnych. Niektóre z nich, zwłaszcza jego sielanki, stały się na Litwe bardzo popularne. Jeszcze i dziś można je usłyszeć na litewskiej wsi obok „dainos“ i „raudos“. Są to utwory okolicznościowe przeważnie, liryczne, bądź też skoczne; opowiadają o zdarzeniach i przeżyciach włościanina.

Dowkont (Daukantas) jest historykiem i historjografem. Syn żmudzkiego chłopa, własnym zawdzięczając wysiłkom, zdołał ukończyć uniwersytet wileński i poświęcił się badaniom Litwy starożytnej. Jego najwybitniejsze dzieło p. t. „B u d ą s e n o w ę s L i e t u v i u k a l n i e n u i r Ž e m a j t i u“ („Obyczaje starożytnych Litwinów i Żmudzinów“) ukazało się w r. 1845 i osiągnęło znaczną poczytność. Rzecz jednak doprowadzona jest tylko do unji lubelskiej. Miało to być wyrazem niechęci autora do Polski i jej roli unifikacyjnej w stosunku do Litwy. Wogóle Dowkont bardzo nieżyczliwie odnosi się do Polaków i przypisuje im wszystkie klęski, jakich rzekomo miała doznać Litwa po unji z Polską. Jest on jednym z pierwszych zwiastunów litewskich dążeń separatystycznych.

Z innych pisarzy tej doby na uwagę zasługują: biskup Maciej Wołonczewski, Iwiński, autor wielu kalendarzy ludowych, biskup Antoni Baranowski, gorący zwolennik jed-

ności Litwy i Polski, autor licznych poematów, zdolny publicysta, umysł poważny i przewidujący, ks. Wienożyński (Vienaždinis), liryk, którego poezje głęboko trafiły do litewskiej psychiki i czytane są dotychczas.

Wydarzenia polityczne na długie lata kładą kres rozwojowi kulturalno-piśmienniczemu Litwy. Po powstaniu listopadowem rząd zamyka uniwersytet wileński. W dążeniu do zrusyfikowania ziem litewsko-białoruskich nie cofano się przed najostrzejszemi represjami. Zdawało się, że nic już nie uchroni litewskości przed utonięciem w tem morzu krwi, w niedoli życia więziennego, w pętach ustaw, coraz dotkliwiej, boleśniej, beznadziejniej krępujących wspaniały, odruchowy, spontaniczny poryw wolnościowy polsko-litewski.

Powstanie styczniowe raz jeszcze miało okrutnie doświadczyć Litwinów. Dla rządu rosyjskiego było ono jednym dowodem więcej, iż korzenie unji polski-litewskiej nie zostały wyrwane, że w społeczeństwie litewskiem nie przepadło poczucie wspólnoty, jedności, solidarności z Polską. Hasło, rzucone przez powstańców polskich, głośnem echem odbiło się i na Żmudzi.

Po stłumieniu powstania mocniej jeszcze zaciśnięto obrożę na litewskiej szyi. Ukazał się zakaz litewskich druków (1865 r.) i trwał w ciągu lat 40-tu, aż do r. 1904. Był to śmiertelny cios dla rozwoju litewskiego piśmiennictwa. Działacze oświeceni, jedni ulegli dalszemu procesowi polonizacji i tę polskość krzewili nad Niemnem i Wiliją, inni, zrezygnowani, słabi, pod wpływem uniwersytetów rosyjskich zaparli się wszelkiej łączności z kulturą polską, popadli w orbitę kultury wschodniej, bizantyńskiej; powoli też zaczęli ruszczeć zupełnie.

Litewskość zgnębiona, przytłumiona, prześladowana, tępiona, słabymi jeno korzeniami tkwiła jeszcze wśród litewskiego włościaństwa. Lud litewski, pozostawiony ciemnocie, zdołał przecież w ciągu tych lat podtrzymać iskrę

litewskiego Znicza. Ten chwiejny ogarek płonął potajemnie, podsycany z Prus. Tam bowiem, w Tylży, w Królewcu, zogniskowała się działalność litewskich emigrantów. Znacznej pomocy udzielało także wychodźctwo ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dość wysoko uświadomione, obfitujące przytem w poważne zasoby materjalne.

W tym okresie ideologja kulturalna i polityczna litewskich działaczów niczem nie różniła się naogół od tradycjonalistycznych zapatrywań litewskiej szlachty z epoki unji z Polską. Z wyjątkiem bodaj jednego tylko Dowkonta, nikt z Litwinów nie zamyślał o zerwaniu z Polską, nikt nie myślał o jakiemś odosobnieniu. Jedność polsko-litewska wciąż jeszcze była tą platformą wszelkich poczynań niepodległościowych.

Dopiero uwłaszczenie chłopów w Rosji miało sprowadzić decydującą zmianę orjentacji. Manifest cara Aleksandra II z 19 lutego 1861 r. dał wolność chłopom na zawsze, uniezależnił ich spod władzy szlachty, umożliwił wykup ziemi, która stawała się własnością chłopa.

Reforma włościańska nie mogła pozostać bez wpływu na kulturalny i umysłowy rozwój włościaństwa. Uzyskawszy swobody społeczne i polityczne, oraz większą niezależność materjalną, lud wydaje spośród siebie nowe pokolenie inteligencji. Ta inteligencja ludowa wychowuje się w szkołach rosyjskich, w atmosferze, wrogiej polskości. Szczepiono w szkołach nienawiść do Polski, zatruwano młodzież historją, opacznie przedstawiającą rolę Polski w rozwoju historycznym i kulturalnym Litwy, łechtano ambicję Litwinów przywróceniem dawnej świetności Litwy, niezawisłej, potężnej, mocarstwowej, zbytej wpływów polskich.

Do tej zmiany orjentacji wśród psychiki społeczeństwa litewskiego przyczyniła się i ta okoliczność, że ludowa młodzież litewska, w domu rodzicielskim używająca języka litewskiego, pod wpływem opowiadań o stosunkach pań-

szczyźnianych nie mogła żywić sympatji do byłych dziedziców, będących Polakami, mówiących po polsku, mających przytem odmienne interesy klasowe. „Przeto i patrjotyzm tej młodzieży — pisze w znakomitem studjum o literaturze litewskiej Wincenty Zajączkowski — musiał być odmienny, niż szlachecki. Wyłoniona bezpośrednio z ludu, świadoma konkretnych jego potrzeb i bólów, młoda inteligencja litewska, zabierając się do działalności publicznej, oprze ją nie na tradycjach szlacheckich, lecz na założeniach etnicznych ludu litewskiego, na jego potrzebach ekonomicznych, a w dalszym ciągu i na różnicach klasowych. Z biegiem czasu drogą powolnej, lecz stałej ewolucji umysłowej skrystalizują się wśród niej nowe ideały narodowe, odmienne od szlacheckich: Litwini powinni stanowić odrębny naród od Polaków, bo mają swój własny język i kulturę, mają swoją historję i dlatego oni powołani są do rozstrzygania o losach Litwy“.

Rok 1905, obfitujący w groźne dla Rosji wewnętrzne rozruchy rewolucyjne, przyniósł mniejszościom narodowym niewielkie prawa wolnościowe. W tym samym roku odbył się w Wilnie zjazd litewskich działaczów politycznych, którzy w ogłoszonej deklaracji zażądali dla Litwy autonomji wraz z własnym sejmem. Dla Polaków deklaracja ta była jawnem objawieniem się narodowego separatyzmu litewskiego. Od tej chwili zaczyna się okres tworzenia nowej Litwy, niezależnej od Polaków, a nawet wrogo do polskości usposobionej.

Antagonizm polsko-litewski najgoręcej przejawia się zrazu na terenie religijnym, w latach 1905 — 1913. Jest to o tyle zrozumiałe, że większość niepodległościowców i działaczów litewskich, pochodzących przeważnie z ludu, należała do duchowieństwa. Kler litewski stanowił podówczas element, najwięcej uświadomiony intelektualnie i politycznie.

*

* *

Po sejmie wileńskim działacze litewscy przystąpili do gorączkowej pracy nad rozbudzeniem wśród swoich ducha narodowego. Znakomity uczony, dr. Jan Bassanowicz (ur. w r. 1851, zmarł w Wilnie w r. 1927), zakłada pismo narodowe „A u s z r a“ („Jutrzenka“). Piszą w niem najznakomitsze pióra. Niebawem powstaje drugie pismo „V a r p a s“ („Dzwon“), na czele którego staje Wincenty Kudyrka (1858 — 1899), wychowanek uniwersytetu warszawskiego. J. A. Herbaczewski nazywa go „geniuszem odradzającej się Litwy“.

Piśmiennictwo tego okresu nosi charakter walki. Walki o wolność, o ideologję. Majronis (ks. Jan Macziulas, ur. w r. 1862) uchodzi za najtęższego poetę doby litewskiego „odrodzenia“. Jego poezje o treści patrjotycznej wywierają ogromny wpływ na całe litewskie społeczeństwo. Poezja jego, nieżyczliwa dla Polski, wychowała najmłodsze pokolenie nacjonalistów. Cechuje go ckliwy sentymentalizm, liryzm, przechodzący miejscami w najczarniejszą rozpacz, zapatrzenie się w widmo Litwy prastarej, Litwy witoldowej. Jego „J a u n o j i L i e t u v a“ („Młoda Litwa“), zawdzięczając niezwykle pięknym opisom przyrody litewskiej, miała kilka wydań i po dziś dzień chętnie jest jeszcze czytana.

Vidunas (Wilhelm Storost, ur. w r. 1868) reprezentuje niejako moralne oblicze Litwy. Teozof, filozof, publicysta i dramaturg, uległ wpływom Nietzschego. Walczył o wielkość jednostki. Tworzenie tej wielkości jednostki i społeczeństwa ma być nakazem chwili. Na silnych jednostkach ma się oprzeć siła Litwy. Najlepszy utwór „Cienie Ojców“, to misterjum. Składa się on z trzech części: pierwsza opiewa „zmierzch bogów“ Litwy, część druga — tragedję pańszczyzny, część trzecia traktuje o renesansie litewskim w sensie mistycznego oczyszczenia ducha narodowego w „ogniu świętym“. „Całość — pisze Herbaczewski — symbolizuje proces wtajemniczania się odradzającego się

genjuszu Litwy w prawdę tragicznej przeszłości, w ból smutnej rzeczywistości, w tryumfalny hymn zwycięskiej przyszłości". W komedjach swych chłoszcze Vidunas wady renegatów litewskich w Prusach. W sztukach tych jest autor raczej myślicielem, niż artystą. Jest mistykiem-intelektualistą.

Kreve-Mickiewiczus (ur. w r. 1884) zaczął pisać po polsku. Później, czasu pobytu na Krymie, pisał po rosyjsku. W ciągu roku studjował na uniwersytecie lwowskim, lecz szybko bardzo otrząsnął się z wpływów kultury polskiej. Jego pierwszy poważniejszy utwór, to „Książę Szarunas", oparty na motywach z dziejów prahistorycznych Litwy. Utwór bajroniczny, pełen zawiłych problematów psychologicznych.

Sławę swą ugruntował Vincas Kreve opowiadaniami realistycznemi z życia chłopów p. t. „S z i a d i n e j p a s t o g e j" („Pod słomianą strzechą"). Autor ujawnia tutaj znaczną znajomość psychiki chłopa litewskiego, wybornie maluje przyrodę, wyprowadza szereg prawd moralnych. Próbował Kreve również sił na polu dramatopisarstwa, lecz powodzenia nie zdobył. Dramaty jego są pozbawione życia scenicznego, nie mają nerwu, brak w nich akcji.

Kreve piastuje godność dziekana wydziału humanistycznego na Uniwersytecie Witolda Wielkiego. Wykłada literaturę polską i rosyjską.

Kreve jest jednym z najświetniejszych współczesnych stylistów litewskich. Teatr Państwowy w Kownie wystawił jego dramat „Szarunas", przetłumaczony z rosyjskiego na litewski. Pomimo znakomitej adaptacji Vaiczunasa, rzecz nie zdobyła spodziewanego powodzenia.

W twórczości Kreve'go często dźwięczy zgrzytliwą nutą polityka. Do Polski i do Polaków usposobiony niechętnie, a nawet nienawistnie (tendencyjnie przedstawia postaci polskie w świetle najgorszem). Jest on przywódcą obozu rusofilskiego, zwolennikiem oparcia się raczej na kul-

turze rosyjskiej, nigdy — polskiej. Szukajmy — mówią ludzie tego obozu — przedewszystkiem własnej kultury litewskiej, nie spaczonej obcymi wpływami. Idźmy śladem tradycji... Cofnijmy się choćby w czasy Litwy legendarnej, a z dziejów bohaterów XII i XIII wieków szukajmy wskazań dla nowych dróg... Raczej trzymajmy się zdala od wszystkich, abyśmy nie zatracili śladu własnych ścieżek... Wpływ bowiem któregoś z potężniejszych sąsiadów znowu bowiem mógłby zatrzeć oblicze tej Litwy, która po latach wyjrzała z mroku historji i której my nadamy jej pierwotny, własny wyraz...

Skutkiem zbliżenia jednak do kultury rosyjskiej zaczęło Litwie grozić niebezpieczeństwo inne. Do psychiki litewskiej wkradły się chyłkiem pierwiastki nihilizmu Arcybaszewów, pesymizmu i fatalizmu Tołstojów i Dostojewskch, słowianofilstwa Chomiakowów, Wałujewów i Aksakowów...

Odrzucenie polskiej tradycji, przy zagubieniu własnej, sprawiło, że literatura litewska nie znajduje nigdzie oparcia. Kierunek historyczno-legendarny (Vincas Kreve), doszukiwanie się Litwy w dziejach prahistorycznych, to „grzebanie się w trzewiach“ legend, mistyki, mitologji Litwy pogańskej, uciekanie od rzeczywistości, malowanie tylko Litwy iluzorycznej, urojonej — spotkało się z gwałtowną reakcją ekspresjonistów, których ideologja stanowi niejako mieszaninę włosko-rosyjskiego futuryzmu (Marinetti, Majakowskij). Kierunkowi przeszłościowemu (jak go nazywa Herbaczewski) przeciwstawiono teraz kierunek teraźniejszościowy.

Ekspresjoniści litewscy założyli pismo „Cztery Wiatry“ (K e t u r i V ej a i), którego redakcję objął Petrenas-Tarulis, twórca nowej prozy, reformator składni litewskiej, autor zbioru poezji p. t. „Niebieskie Spodnie“. Ulubioną jego formą są opowiadania realistyczne.

Kazys Binkis, jeden z najtęższych poetów młodej Litwy, do niedawna główny przedstawiciel ekspresjonizmu litewskiego, po rozbiciu się tego obozu na dwie części stanął na czele pisma „Musu Dienos“ („Nasze Dni“). Binkis uprawia głównie lirykę w duchu narodowym.

Do szkoły historycznej Kreve'go należy Faustas Kirša (ur. w r. 1891). Wbrew tendencjom swej szkoły — namiętny wielbiciel Krasińskiego: przełożył na litewski „Irydjona“, „Nieboską Komedję“, „Niedieviška Komedija, Zigmantas Krasinskis, iš lenku kalbos verte...“ Krytyka o przekładach jego wyraża się bardzo przychylnie. Dzięki obfitej ilości archaizmów, język litewski, jak żaden inny, nadaje się do przekładów Krasińskiego.

Jeśli idzie o prace oryginalne, Kirša wydał tom wierszy p. t. „Suverstos Vagos“ („Przewrócone Skiby“), „Odgłosy echa“ i „Popioły“. Należy do szkoły symbolistów. Redagował w swoim czasie tygodnik literacki p. t. „Zasady i dążenia“. I on usiłował zmodernizować pisownię litewską, lecz spotkał się ze stanowczym sprzeciwem lingwistów.

Vienuolis (Antoni Żukowski), ur. w r. 1882, wyróżnił się spośród innych pisarzy litewskich barwnością i pięknością stylu. Lubuje się nadewszystko w opowiadaniach z życia litewskiej prowincji. Nadto dużem powodzeniem cieszyły się jego opowiadania na tle Krymu i Kaukazu, gdzie autor przebywał przez czas dłuższy.

Świetnym prozaikiem jest Jerzy Savickas. Były poseł litewski w Helsinki, jeszcze doniedawna dyrektor Teatru Państwowego, obecnie znowu przerzucił się do dyplomacji: jest posłem w Sztokholmie. Kształcił się Savickas w uniwersytecie krakowskim. Jest autorem tomiku poezji p. t. „Sonety świąteczne“ i tomu prozy „W pobliżu wysokiego tronu“, którym zwrócił na siebie uwagę krytyki. Jest on niewątpliwie jednym z najkulturalniejszych pisarzy li-

tewskich, autorem o dużym intelekcie, posiadającym przytem wielki i oryginalny talent.

Spośród pisarzy dramatycznych na czoło wysunął się młody i wybitnie uzdolniony Petras Vajczunas, jeden z najtęższych współczesnych liryków. „V a l s t y b e s T e a t r a s“ (Teatr Państwowy) wystawił szereg jego utworów, które miały ogromne powodzenie. Są to: „Zmącony spokój“, „Daremne starania“, „Politycy“, „Grzeszny anioł“, oraz ostatnia rzecz p. t. „Gra złota“. Treść tej sztuki, to potężne znaczenie pieniądza, gra złota, jego nierówna walka z duchowemi możliwościami człowieka. W rezultacie ofiarami złota padają ofiary ludzkie, słabe w życiowej walce, skuszone pokusami. Interesujący jest akt w szpitalu warjatów, gdzie znaleźli się ludzie, którzy stracili rozum w walce z przeklętem złotem: rzeźbiarz, poeta i właściciel domu. Scena ta wywiera wstrząsające wrażenie.

Komedje Vajczunasa chłoszczą bezlitośnie ludzką małostkowość, nieuzasadnione i nieusprawiedliwione aspiracje, wygórowane ambicje.

Jako dramaturg ma przed sobą wielką przyszłość. Pracownik niestrudzony, godny podziwu. Jakkolwiek dla Polaków usposobiony nieprzychylnie, nie tai swei admiracji dla polskiej kultury, polskiej poezji i sztuki. Żywo interesuje się całą polską literaturą. Przyswoił językowi litewskiemu „Śnieg“ Przybyszewskiego, kilka utworów Słowackiego (m. in. „Balladynę“), „Literaturę Polski Niepodległej“ Chrzanowskiego, „Historję literatury polskiej“ Chlebowskiego i in.

Vincas Putinas-Mykolaitis (ur. w r. 1892) reprezentuje obóz katolicki. Wyborne są jego poezje liryczne, wyróżniające się subtelnem poczuciem rytmu i rymu. Warunki materjalne stanęły na przeszkodzie dalszemu rozwojowi tego talentu. Putinas wykłada dziś na uniwersytecie kowieńskim, a nadto trudni się krytyką literacką.

Symbolizm posiada w literaturze litewskiej dwuch czołowych przedstawicieli. Są to Balys Sruoga i Łastas. Ulegają oni wyraźnie wpływom literatury rosyjskiej. Sruoga wydał dwa tomy poezji: „Bogini jeziora“, oraz „Słońce i piasek“. Porzucił jednak wcześnie literaturę, aby przejść do pedagogji. Obecnie jest docentem literatury rosyjskiej na uniwersytecie.

Z młodszych pisarzy uwagę zwracają Petrinas. Rimidis, Szemeris, Sziminas, Żenga, Tilvitis, Jasiukajtis, Gustajtis, a przedewszystkiem Szwaistas. Pujda zalewa rynek księgarski literaturą sensacyjno- polityczną. W powieściach przedstawia Polaków z reguły jako „czarne charaktery“, szydzi i drwi z Polski, którą maluje jako państwo o tendencjach imperjalistycznych, winne wszystkich „klęsk“ litewskich. Powieści te nie posiadają jednak żadnej wartości literackiej.

Do pióra sięgnęły także kobiety litewskie. Żemaitė (Julja Żymontowa, 1845 — 1921) kreśliła przeważnie krótkie opowiadania realistyczne z życia chłopskiego. Szatrijos Ragana (pseudonim Marji Pieczkowskiej; ur. w r. 1878), córka żmudzkiego ziemianina, stylem pięknym i obrazowym napisała szereg nowel i powieści z życia dworów żmudzkich. Z polskiego przetłumaczyła na litewski „W pustyni i w puszczy“ H. Sienkiewicza, oraz „Placówkę“ B. Prusa. Najlepszą powieścią Łazdynu Peleda (Zofja Przybyłowska, 1867 — 1926) jest „K l a i d a“ („Błąd“), w której przedstawiła ona konflikty jakie powstały przez małżeństwo litewskiego ziemianina z polską arystokratką.

Zofja Kimont-Czurlonisowa, żona znakomitego litewskiego muzyka i malarza, dała utwór p. t. „Synowie zorzy“, w którym odmalowała walkę z prześladowaniami rosyjskiemi. Dramat ten wystawiono w litewskim teatrze.

*

*　　*

Położenie pisarzy litewskich jest ciężkie. Państwo o dwuch miljonach mieszkańców, z których piąta część, to analfabeci, z trudnością może zapewnić egzystencję swojej literaturze.

Coraz częściej odzywają się głosy, że bez porozumienia z Polską trudno będzie pisarzom litewskim wejść na arenę międzynarodową. Polityka upartego, fanatycznego odosobnienia nie prowadzi do niczego. Czas już, aby artyści i pisarze litewscy na sprawę pojednania z Polską spojrzeli nie pod ciasnym, szowinistycznym kątem, narzuconym im przez litewskich polityków. To porozumienie możliwe jest na terenie sztuki. Potrafimy ocenić litewską sztukę, skoro już oddawna entuzjazmują się nią najwięksi polscy pisarze.

Miejmy nadzieję, że powstały w ostatnim czasie na terenie Naszej Przyszłości „Związek Przyjaciół Litwy" przyczyni się wydatnie do wzajemnego poznania i zrozumienia. To zrozumienie jest obu stronom niezbędne, gdyż „tout comprendre c'est tout pardonner"...

Eugenjusz M. Schummer

GŁOSY CZYTELNIKÓW:

SPROSTOWANIE „NOWEJ ZORJI“.

Otrzymaliśmy następujący list, wysłany z Redakcji „Nowej Zorji“, datowany z dnia 4-go stycznia r. b.:

Do Szanownej Redakcji „Naszej Przyszłości“
w Warszawie.

W związku z artykułem p. t. „Na torach sprawy ukraińskiej“, umieszczonym w „Naszej Przyszłości“ za listopad — grudzień 1933, na str. 5 — 37, upraszamy na podstawie art. 19-go ustawy prasowej o umieszczenie następującego sprostowania w najbliższym numerze „Naszej Przyszłości“:

Nieprawdą jest, jakoby poważne ukraińskie sfery dopuściły na łamach czasopisma ukraińskiego „Nowej Zorji“ niespodziewany atak na „Naszą Przyszłość“, aby przypodobać się szerszym masom swego społeczeństwa, natomiast prawdą jest, że atak na „Naszą Przyszłość“ wobec tego, co w tejże „Naszej Przyszłości“ nadrukowano w sprawie ukraińskiej, musiał nastąpić ze stanowiska ukraińskiej patrjotycznej katolickiej organizacji i gazety, jakoteż prawdą jest, że w „Nowej Zorji“ nigdy nie drukuje się niczego dla przypodobania się szerszym masom.

Nieprawdą jest, jakoby jeden z adwokatów, należący do Stronnictwa Konserwatywnego, powstałego pod egidą ks. Biskupa Chomyszyna, dozwolił na ogłoszenie w gazetach, że za aprobatą ks. Biskupa solidaryzuje się z popełnionym w kosulacie S. S. S. R. we Lwowie mordem, natomiast prawdą jest, że żaden z adwokatów, należących do wyżej wspomnianego stronnictwa, ani na takie ogłoszenie

nikomu nie dozwolił, ani sam niczego podobnego nie ogłaszał.

I prawdą jest, że adwokat Dr. Józef Nazaruk, należący do ukraińskiego stronnictwa konserwatywnego, o którem pisze wyżej wspomniany artykuł „Naszej Przyszłości“, zgłosił się do obrony Łemyka właśnie w tym celu, aby wyraźnie zaznaczyć przy rozprawie, że ukraińskie Stronnictwo konserwatywne, o którem tu mowa, nie solidaryzuje się z żadnymi aktami terroru i potępia też straszny terror, wykonywany nad narodem ukraińskim w obrębie państwa radzieckiego.

W końcu nieprawdą jest, jakoby tem jednem pociągnięciem ów adwokat przekreślił trzydziestoletnie dzieło ks. Biskupa Chomyszyna, a prawdą jest, że gdyby nawet ten adwokat zrobił takie pociągniécie, jakie jemu imputuje wyżej wspomniany artykuł „Naszej Przyszłości“ — (a jakiego to posunięcia on wcale nie zrobił) — to i w tym wypadku nie mógłby przekreślić dzieła ks. Biskupa z tego prostego powodu, że za takie pociągnięcie zostałby napewno wykluczony z katolickiego stronnictwa, a już o solidaryzowaniu się z mordem czy to bezpośredniem, czy pośredniem ze strony katolickiego Biskupa oczywista nawet mowy być nie może.

Z poważaniem

Za redakcję „Nowej Zorji“ i za siebie:

(—) Dr. Józef Nazaruk
Członek Głównego Zarządu.

Za U. N. O. (Ukraińską Narodną Obnowę konserwatywną organizację katolicką):

(—) Roman Hajduk
sekretarz

(—) Pantalejmon Chytra
Odpowiedzialny redaktor „Nowej Zorji“.

Przesyłając nam powyższe sprostowanie, całkiem niepotrzebnie uzbroili je Panowie z „Nowej Zorji“ i z Konserwatywnego Stronnictwa Ukraińskiego w groźny paragraf dziewiętnasty ustawy prasowej. Wszak bylibyśmy je umieścili z całą chęcią i bez tego. „Nasza Przyszłość“ jest organem ideowym integralnego objektywizmu, opartego na dawnych, dobrych wzorach konserwatywnej szkoły historycznej, której osią działania była prawda dziejowa. Dlatego więc wszystko, co może przyczynić się do wyświetlenia prawdy, jest nam zawsze bardzo pożądanem.

Tego widocznie nie zrozumieli jeszcze nasi do niedawna przyjaciele — obecnie chwilowo nieprzyjaciele — z pod znaku Ukraińskiej Narodnej Obnowy. Sądzili, że trzeba nas potraktować, jak pierwsze lepsze politykujące pisemko, które coś nabroi i które dlatego trzeba zmuszać do prostowania faktycznego stanu rzeczy zapomocą ustaw, rozporządzeń i paragrafów. Mniemali, że będziemy opierać się zamieszczeniu powyższego listu i dlatego opancerzyli go ustawowym paragrafem.

A tymczasem my zamieszczamy skwapliwie to sprostowanie wcale nie ze strachu przed tymże paragrafem, ale dlatego, że stanowi ono dla nas przedewszystkiem bardzo cenny materjał, a powtóre daje nam asumpt do głębszego jeszcze wyjaśnienia czytelnikom naszej akcji w sprawie polsko-ukraińskiej, niż wywody, zawarte we wstępnym artykule poprzedniego tomu naszego pisma, na który powołują się sygnatarjusze powyższego listu.

Cenny to dla nas materjał — gdyż zawiera wyraźne w polskiem piśmie stwierdzenie konserwatywnego charakteru i tytułu Ukraińskiej Narodnej Obnowy i jego organu „Nowej Zorji“. Wiele bowiem jest sfer i czynników w polskiem i ukraińskiem społeczeństwie, które ustnie, przy danej okazji, powołują się na swoje konserwatywne tendencje, ale wzdragają się ogłaszać publicznie, drukiem, swego konserwatywnego charakteru. Tu zaś uczyniły to miarodajne

osobistości z Ukraińskiej Narodnej Obnowy i dlatego fakt ten, będący niejako przypieczętowaniem sprawy, o którą nam tak bardzo oddawna chodzi, witamy z wielkiem zadowoleniem.

Bo jakież są istotne cele działania „Naszej Przyszłości“ w sprawie ukraińskiej? Czy może, jakby ktoś powierzchownie mógł sądzić, jakieś rozwiązywanie problemu polsko-ukraińskiego, o co kusi się tak wielu? Czy może wynajdywanie nowych recept tak zwanego „zgodnego współżycia“ ludności polskiej i ukraińskiej na terenach mieszanych w naszem państwie? Nic podobnego! Poruszamy wprawdzie niekiedy i te sprawy na łamach „Naszej Przyszłości“, gdy jest to niezbędne dla wyjaśnienia mimochodem ogólnego naszego stanowiska. Dopuszczamy czasem artykuły z pod różnych piór w tym zakresie. Ale, prawdę mówiąc, nie o te kwestje chodzi nam w pierwszym rzędzie. Są to przecież sprawy, wchodzące w zakres działania rządu, ciał ustawodawczych i miarodajnych przedstawicielstw polskiego i ukraińskiego społeczeństwa. Są to więc sprawy polityki aktualnej, do której — jak wiadomo — z reguły się nie mieszamy.

Głównym natomiast i narazie, rzec można, jedynym celem „Naszej Przyszłości“ w sprawie ukraińskiej było od początku i jest w dalszym ciągu przyczynienie się wszelkim sposobem do rozbudzenia i podniecenia w Małopolsce wschodniej ukraińskiego ruchu prawdziwie konserwatywnego. Nie mamy pretensji mieszać się do niego bezpośrednio, ani dawać mu nauk moralnych, choćby z tego jednego już powodu, że prawdziwy, integralny konserwatyzm, o charakterze objektywizmu politycznego, nie da się sztucznie zapłodnić, ale wyróść musi sam z siebie, organicznie, na naturalnych podstawach. Gdzie takich podstaw, tej potrzeby, brak w społeczeństwie, tam i setki polityków prawdziwego konserwatyzmu nie stworzą. Stąd też współdziałanie nasze w tej sprawie ogranicza się tyl-

ko do pewnego rozbudzania w danych sferach ukraińskich tego, co w nich już tkwiło, lub tkwi, nieraz jeszcze podświadomie, w zakresie ideologji konserwatywnej i wyczucia potrzeby powstania silnego ruchu konserwatywnego w ich narodzie. Nietyle powstania partji — bo każda partja idzie zaraz na wybory i tem się psuje — ile ruchu konserwatywnego ze wszystkiemi jego psychologicznemi, naukowemi, a stopniowo i praktycznemi konsekwencjami. W zakresie więc formowania prawdziwie konserwatywnej ideologji i metody ujmowania spraw pragniemy chętnym sferom ukraińskim dopomóc piórem, słowem, a może gdzieniegdzie i czynnym przykładem — ale nic więcej. Resztę niech sami Ukraińcy zrobią... jeżeli potrafią!

I tu właśnie wysuwa się w danym wypadku druga, ważna dla nas sprawa: sprostowania faktu, zawartego w wyżej zamieszczonym liście.

Bardzo chętnie — i jak chętnie! — przyznalibyśmy rację każdemu sprostowaniu naszej omyłki, któreby wzmocniło w nas przekonanie o prawdziwie konserwatywnem postępowaniu i sposobie myślenia danej grupy polskiej, czy ukraińskiej w kraju. Niestety jednak w tym wypadku niecałkiem tak było. Zastrzegamy się wyraźnie, że nie zarzucamy nikomu złej intencji, przyznajemy chętnie wszelkie możliwe nieporozumienia i niedorozumienia, ale niemniej skonstatowane fakta są następujące:

1. Wrześniowy atak „Nowej Zorji“ na „Naszą Przyszłość“ z powodu paru ustępów z naszej majowej dyskusji w sprawie wyłącznie tylko polsko-rosyjskiej nastąpił całkiem niespodziewanie. Ani słowa o sprawach ukraińskich nie było mowy na tem naszem zebraniu, a nawet w okresie tym — wiosennym, potem jesiennym — byliśmy w korespondencji z pewnymi czynnikami Ukraińskiej Narodnej Obnowy celem urządzenia wspólnego zjazdu w Warszawie, przygotowywanego zdawna z naszej inicjatywy. Jasnem więc jest, że w żadnym już razie w tym okresie, za-

praszając tamtych Panów na zjazd konserwatywno-porozumiewawczy, na którym nam zależało, nie mogliśmy mieć żadnych ujemnych dla ukrainizmu zamiarów i psuć sobie sprawy prowokowaniem naszych kontrahentów.

W tych warunkach zaskoczeni zostaliśmy atakiem „Nowej Zorji“, który, ostatecznie nieszkodliwy sami w sobie, otworzył nam jednak oczy na dziwną mentalność przynajmniej niektórych osób, miarodajnych w wydawnictwie tego pisma — na mentalność, która zamiast dążyć szerokim torem do osiągania doniosłych dla narodu celów ideologji prawdziwie konserwatywnej, gubi się w podejrzliwych, kazuistycznych dociekaniach nad sensem jakichś poszczególnych słów, czy zwrotów w artykułach prasowych nawet swych przyjaciół i rozpisuje się nad tem, wyolbrzymiając swe odkrycia tego rodzaju ponad wszelką zdrową logikę.

Była mowa np. na naszym majowym obiedzie dyskusyjnym o osłabianiu się państwa rosyjskiego przez klęski głodowe, wywoływane ustrojem komunistycznym. Stąd wyciągła „Nowa Zorja“ pośpieszny wniosek, że radujemy się, gdy Ukraińcy w Rosji z głodu giną. Była dalej mowa, znowu tylko z punktu widzenia ewentualnej przyszłości polsko-rosyjskiej, że w razie odpowiedniej ewolucji stosunków zainteresowanie Polski na terenie kolosalnego organizmu państwa rosyjskiego nie powinno sięgać w dziedziny zbyt dalekich fantazji, ale skierować się na pewne bliższe terytorja, w kierunku Morza Czarnego, które ongiś wchodziły w skład dawnej Rzplitej. Z tego wyciągnęła „Nowa Zorja“ wniosek, że chcemy zawojować ziemie ukraińskie i przyłączyć je do państwa polskiego.

W taki sposób, poświęcając czas na analizę prasową pod mikroskopem, przy pewnej zwłaszcza dozie bujnej fantazji, można wszędzie niesłychane herezje wykrywać i z tryumfem obwieszczać światu. A tragikomika tego ataku na „Naszą Przyszłość“ była tem większa, że właśnie

„Nasza Przyszłość“ — może jedyne z pism polskich — stawiała od przeszło trzech lat, od początku swego wydawnictwa, stanowczo i integralnie sprawę Wielkiej Ukrainy!

Tak więc, konstatujemy, że atak był nagły i niespodziewany, który musiał oczywiście wywołać u nas gorycz i odpowiednią, piętnującą reakcję. A gorycz tę musiało następnie zwiększyć u nas jeszcze postąpienie innej poważnej — tym razem naukowej — grupy ukraińskiej w Warszawie, o czem donieśliśmy czytelnikom naszym również w sprawozdaniu, zamieszczonem w poprzednim tomie pisma.

2. Co do innych spraw, poruszonych w sprostowaniu „Nowej Zorji“, to jak najchętniej przyjmujemy do wiadomości odnośne wyjaśnienia. Jesteśmy szczerze zadowoleni mogąc z nich skonstatować, że pozory wystąpienia jednego z przedstawicieli U. N. O. w sprawie procesu Łemyka, wywołane komunikatem w jednym z najpoczytniejszych dzienników krajowych, okazały się mylne, sprzeczne z istotnemi intencjami ukraińskiego stronnictwa konserwatywnego. Pozory te wywołały na nas niekorzystne wrażenie dlatego, że ów komunikat — ogłaszający zgłoszenie się w sądzie z obroną Łemyka ze strony adwokata, bardzo miarodajnego członka wymienionego stronnictwa, „z aprobatą ks. Biskupa Chomyszyna“ — nie został, o ile nam wiadomo, zdementowany, czego oczekiwaliśmy. Jest bowiem rzeczą naturalną, że adwokat, w wykonaniu swego zawodu, występuje z obroną w jakiejkolwiek rozprawie sądowej, ale byłoby chyba czemś niepraktykowanem, gdyby miał przy tem zasięgać specjalnej aprobaty biskupiej. W braku energicznego dementi, byliśmy uprawnieni uważać takie wystąpienie za demonstrację polityczną, w danych warunkach niezgodną, naszem zdaniem, z ideologją i metodą konserwatywną i niezgodną z całym duchem działalności J. E. ks. Biskupa Chomyszyna.

Powtarzamy więc nasze żywe zadowolenie, że na podstawie wyżej zamieszczonego sprostowania ów komunikat mylnym się okazał.

Jeżeli zaś był mylnym, to ubolewać tylko należy nad zbytnią pochopnością do zamieszczania sensacyjnych informacji ze strony nawet poważnej prasy codziennej, podającej w formie kategorycznej nie dość sprawdzone i nie dość krytycznie przefiltrowane wiadomości, które jednak bądź co bądź opinję w kraju kształtują.

W każdym razie, polemizując z taktyką pewnych politycznych, lub naukowych sfer ukraińskich, zastrzegamy się stanowczo przeciw takiej interpretacji naszych słów, jakoby miały być one wymierzone w czcigodną Osobę J. E. ks. Biskupa Chomyszyna. Nie mogliśmy mieć nigdy podobnego zamiaru, jako katolicy, aby autorytet katolickiego Biskupa atakować i to zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy ogólny upadek moralności i etyki na świecie więcej, niż kiedykolwiek, wymaga skupienia się wierzących pod sztandarem autorytetu Kościoła. Nie mogliśmy mieć podobnego zamiaru także i jako wyznawcy twardej, nie goniącej za popularnością szkoły objektywizmu państwowego, skoro przecież właśnie ks. Biskup Chomyszyn daje swym rodakom wymowny przykład od długiego lat szeregu nieugiętej wytrwałości w głoszeniu słów prawdy i to nieraz cierpkiej prawdy. Utrudnianie więc takiemu dostojnemu Działaczowi ciężkiego i nie zawsze wdzięcznego zadania byłoby nonsensem z naszej strony.

Zresztą jasną jest rzeczą, że za wystąpienie tego, lub owego świeckiego polityka jego Biskup diecezjalny odpowiedzialnym być nie może. Stąd też, mówiąc o sprawie „aprobaty biskupiej", zaznaczyliśmy odrazu, że stoimy wobec okoliczności, dla nas niezrozumiałej, wobec jakiegoś „tragicznego nieporozumienia", wobec wydrukowanego faktu, którego zaprzeczenia w następnych dniach nie było. Jeżeli zaś nie było wskutek przeoczenia ze strony zaintere-

sowanych polityków ukraińskich, to możemy im tylko doradzić, aby zamiast śledzenia i atakowania przyjaznego sprawie ukraińskiej wydawnictwa, jakiem jest „Nasza Przyszłość“ i przesyłania mu sprostowań w oficjalnej formie, zechcieli uważniej czytać inne organy prasy i prostować tam przedewszystkiem takie wiadomości, które integralny cień mogą rzucać na ich postępowanie. Trzeba prawdziwego przeciwnika szukać tam, gdzie on jest naprawdę, zamiast wywoływać scysję z — przyjacielem. Prawdziwy polityk nie powinien nigdy dla przemijających drobiazgów utrudniać i łamać dobrej ludzkiej woli, która mu pożyteczną być może. Cóżby to było, gdyby „Nasza Przyszłość“ zaczęła badać pod lupą wszystkie artykuły „Nowej Zorji“ i atakować ją z powodu wszystkich zdań, słówek, zwrotów i ustępów, które nam z polskiego punktu widzenia mogłyby się nie podobać! To byłoby dopiero obfite żniwo dla polemiki kazuistycznej, reklamo-dziennikarskiej! Ale nic pożytecznego, nic produktywnego dla sprawy polsko-ukraińskiej taka polemika i takie traktowanie sprawy z pewnościąby nie przyniosły. A tylko sfery radykalne i wywrotowe miałyby uciechę, że kłócą się dwa organy umiarkowane, katolickie i że wskutek tego wpływ ich umiarkowanego oddziaływania na sprawę polsko-ukraińską odpowiednio się osłabia.

Dlatego jesteśmy stanowczo zdania, że „tragiczne nieporozumienie“, jakie wybuchło chwilowo między nami, powinno być zamknięte w imię dobra sprawy, sprawy przedewszystkiem Waszej. Jak najchętniej oświadczamy, że jeżeli pomyliliśmy się z odległości pół tysiąca kilometrów w ocenie tego, lub owego szczegółu, lub intencji postępowania tego czy innego członka ukraińskiego stronnictwa konserwatywnego, to pomyłkę tę niniejszem z całą gotowością prostujemy, cofamy i wrzucamy do naszego redakcyjnego kosza. A jeżeli ktokolwiek mógł tłumaczyć pewne zdania z naszych enuncjacji, jako skierowane rzekomo prze-

ciw osobie ks. Biskupa Chomyszyna, to tem energiczniej mniemanie takie prostujemy. Ale z drugiej strony żartować z siebie nie damy nikomu i jeżeli ktoś opowiada się raz jako nasz kontrahent, czy współpracownik, czy choćby tylko sympatyk, to nie wolno mu zmieniać na drugi dzień zdanie i pisać lub postępować inaczej. Pragniemy szczerze przyłożyć choćby skromną cegiełkę do pozytywnego dzieła porozumienia polsko-ukraińskiego, ale nie mamy czasu do stracenia na darmo. A dotychczas jednak niestety wszelkie próby pozytywnego kontaktu między społeczeństwem polskiem a ukraińskiem od stu lat pozostały daremne!

Uważny czytelnik „Naszej Przyszłości" rozumie bez żadnej wątpliwości, że w interesie naszym nie leży bezmyślne, lub złośliwe atakowanie konserwatywnych prądów w społeczeństwie ukraińskiem. Wprost przeciwnie — w żywotnym interesie naszej akcji leży jak najpomyślniejszy rozwój tego kierunku. Pragniemy, aby wszyscy Ukraińcy, którzy wyraźnie do konserwatyzmu się przyznają, jak najkorzystniej odbijali na ogólnem, niestety dość smutnem tle emocjonalnej taktyki reszty tego społeczeństwa, która w danem położeniu ukraińskiego narodu jest samobójczą. Dlatego tak dotknęły nas niektóre pociągnięcia jesienne poważnych sfer ukraińskich, z któremi mieliśmy sposobność wejść w kontakt. Wszak skrajni nacjonaliści polscy mogą nam teraz wytknąć: Widzicie po kilku latach usiłowań, co wam kontakt z Ukraińcami przynosi!

Cóż im na to pozytywnego możemy narazie odpowiedzieć?

Redakcja

LIST J. E. KS. ARCYBISKUPA EDWARDA ROPPA.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed kilku dniami[1]) byłem w kole konserwatystów na zebraniu, w którem bardzo poważny i ogólnie poważany pan wygłosił odczyt p. t. „Zachowawczość jako program polityczny“. Odczytu tego, rozdanego słuchaczom, nie mogłem na miejscu odczytać, a dopiero w domu, po odczytaniu, okazało się, że, o ile z praktycznymi jego wnioskami przeważnie się zgadzam, o tyle wyłożona tam teorja o zachowawczości wzbudza we mnie sprzeciwy, które postanowiłem rozwinąć i oddać do oceny Redakcji „Naszej Przyszłości“, aby, jeżeli uzna je za wartościowe, mogła je w tym Miesięczniku ogłosić.

Prelegent określa zachowawczość jako „wyczucie faktu, że osobnik ludzki jest p r o d u k t e m (podkreślono) pokoleń poprzedzających, a zarazem łącznikiem z pokoleniami przyszłemi“, że jest „osadem doświadczenia“, że w odmiennych warunkach wytwarza odmienną treść i że, o ile chodzi o kulturę zachodnią, której jesteśmy członkami, to osiągnęła ona wysoki stopień doskonałości przez filozofję helleńską, ukoronowaną w chrześcijaństwie i rozpowszechnioną przez Kościół rzymski.

Taka definicja nie sięga do głębi i choć są w niej przebłyski prawdy, to jednak prawdą nie jest. Przedewszystkiem zaprzeczam zależności „Kościoła rzymskiego“ (dlaczego nie katolickiego?) od filozofji helleńskiej. Zapewne, filozofja ta, jako wspaniały wykwit rozumu człowieka, została użyta, zgłębiona, z wielu błędów oczyszczona przez Kościół i to nietylko rzymski, ale również i grecki, jednem słowem — powszechny, katolicki. Ale ten Kościół ma inne korzenie, bez porównania głębszę i nieomylne. Z prac ludzkich na każdem polu korzysta, zastosowując je do swo-

[1]) W grudniu z. r. (Przyp. Red.)

ich nieomylnych zasad, nie ulegając jednak ich wpływom, ani będąc ich produktem.

Zwracając się do Polaków, przypuszczam, że każdy zna słowa modlitwy Pańskiej: Ojcze Nasz. A to jest źródło i fundament Kościoła, niepomiernie głębszy od wszelkiej filozofji helleńskiej. Święć się Imię Twoje — to dalsze źródło. Ale, jak rozumieć to źródło? Otto prośba „przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja“ wymaga, aby „Ojciec-Bóg“ określił to swoje królestwo, objawił Swą wolę. I wyjawia to w formie prośby i nakazu „chleba naszego daj nam dziś, odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom, nie wwódź w pokuszenie, zbaw ode złego“.

Kto mówi: „Ojcze nasz“, a nawet Żydzi piękność tej modlitwy uznają, ten wyraża swą zależność od tego „Ojca-Boga“ i wyznaje, że On, Ojciec, wolę Swoją objawił. W tem objawieniu Bóg określił nas jako winowajców, a to tłumaczy wszelkie zwichnięcia teorji ludzkich, nawet filozofów helleńskich i wszystkich, którzy bezwiednie, albo świadomie negują swą zależność od Boga i stawiają siebie jako arbitrów niezależnych.

W zachowawczości prawdziwej doświadczenie gra wprawdzie ważną rolę praktyczną, ale zachowawczość ta nie jest jego produktem. Gdyby tak było, to mogłoby być dużo różnorodnych konserwatyzmów równocześnie i na tym samym terenie, taka podstawa odbierałaby zachowawczości wszelką inicjatywę i tworzyłaby z niej tylko warownię obronną, zatem rzecz martwą, gdy przecież prawdziwa zachowawczość jest pełną życia i energiczną współpracowniczką w rozwoju ludzkości.

Aby zachowawczość prawdziwą określić, musimy szczerze wyznać naszą zależność od Boga i wynikające z niej Objawienie Boże. Niegodnem Boga byłoby stworzyć istotę, która do Niego dąży, a nie wskazać jej drogi do tego celu. To też Bóg na wiele wieków przed modlitwą Ojcze

Nasz objawił nam już Swoje przykazania: najkrótsze i najdoskonalsze prawo dla wszechludzkości. W nich leży fundament zachowawczości: z a c h o w a ć t o p r a w o, a g d z i e s i ę o d n i e g o o d e s z ł o, d o ń w r ó c i ć.

Wszystko w tem Prawie Bożem jest tak zgodne z naturą ludzką, że je nawet nazywają Prawem Natury. W niem też wszelkie potrzeby i nawet komplikacje życia nowoczesnego są przewidziane.

Stosunek do Boga — będziesz miłował; do rzeczy doczesnych — nie będziesz miał bogów cudzych przedemną; rodzina — czcij ojca twego i matkę twoją; stosunek do drugich ludzi — będziesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego, nie zabijaj, nie mów fałszywego świadectwa; własność — nie pożądaj, nie kradnij. Jednem słowem, wszystko daje się podciągnąć pod to krótkie prawo i najszczegółowsze prawodawstwa są, albo raczej powinnyby być oparte na tem prawie Bożem.

Dając zachowaczości tę podstawę, dajemy jej możność aktywnego występowania jako pierwiastka twórczego, mającego niezmienną, pewną podstawę we wszelkich sprawach ludzkich: w naszych czasach szczególnie podstawy do obrony własności i rodziny, w sprawach zaś porządku społecznego — uznanie wszystkich ludzi jako bliźnich, panowanie miłości i na niej opartej sprawiedliwości.

Taka zachowawczość ma znaczenie czynnika czynnego, ma ogromne pole pracy, na którem naturalnie liczyć się musi z warunkami realnymi, w stosunkach zaś z innymi poglądami stara się przeprowadzić, co się daje, sama nie błądząc, bo oparta jest o niezachwiane prawo, od którego odstąpienie prowadzi do chaosu, a do którego powrót wszelkie przeciwieństwa łagodzi.

Daleko odeszliśmy od tego prawa i pracę mamy wielką i wdzięczną, ale tylko o ile się na tym fundamencie oprzemy.

Określeniem zachowawczości byłoby więc: urzeczywistnienie w teorji i praktyce życiowej w stosunku do rodziny, narodu i państwa prawa Bożego, albo prawa natury, przez Boga-Stwórcę objawionego, a zatem nieomylnego, trwałego i wszechludzkiego.

Arcybiskup Edward Ropp

LIST REDAKTORA „RODZINY POLSKIEJ“ P. JÓZEFA CZARNECKIEGO.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie w tej drodze przesłać kilka uwag, które nasunęły mi się na marginesie ciekawego wieczoru dyskusyjnego, poświęconego sprawie ukraińskiej i na tle bogatych doświadczeń, jakie w tej dziedzinie zdobyła „Nasza Przyszłość“. Ponieważ pewne fragmenty tej akcji rozegrały się też i przed memi oczyma, daje mi to podnietę do zabrania głosu.

Sprawa ukraińska, przy najzupełniej słusznem traktowaniu jej jako zagadnienia wewnętrznego, ma jednak i pewne zasięgi zagraniczne, które nolens volens wywierają wpływ na tok zdarzeń w życiu naszych ziem południowo-wschodnich. Należy się z tem liczyć, choćby się nawet przyjęło za jednym ze znawców zagadnienia ukraińskiego pewność stabilizacji stosunków politycznych zakordonowych na najbliższe lat pięćdziesiąt.

Ilustracją tego iunctim jest ostatnio choćby kwestja listu pasterskiego Episkopatu greko-kat. w sprawie głodu na Ukrainie radzieckiej, a z drugiej strony akt zamachowy młodego Łemyka. W tych dwóch sprawach z wielką siłą odmalowało się to psychiczne powiązanie się obu odłamów społeczeństwa ukraińskiego, które, przy całej różnicy ich sytuacji polityczno-ekonomicznej i kulturalnej, istnieje i sta-

nowić będzie stały współczynnik dziejów tej części kontynentu europejskiego.

Oczywista rzecz, że Polska ma całkowitą możność realizowania takich założeń politycznych, które są najbardziej słuszne z naszego punktu widzenia, z tego punktu widzenia, który mieści się w Warszawie. Niemniej jednak musimy wprowadzić tu pewną korekturę i pewną korelację, która wynika właśnie z istnienia owego refleksu spraw zakordonowych na życie Ukraińców wołyńskich i małopolskich.

W stanowisku „Naszej Przyszłości" zarysowuje się zresztą wyraźnie, zwłaszcza ostatnio, świadomość tego zazębienia się dwu problemów; wyraziła się ona w myśli o wzajemności polityczno-gospodarczej, ujętej w haśle Odessa — Gdynia.

Mówiąc powyżej o Ukraińcach wołyńskich, wskazaliśmy drugi motyw, zmuszający do korektury programu ukraińskiego, jaki społeczeństwo i państwo nasze musi wypracować. Nie ulega wątpliwości, że istnieją poważne różnice między tymi dwoma ośrodkami ukraińskimi, różnice zarówno kulturalno-polityczne, jak i religijno-wyznaniowe.

Trzeba sobie zdawać sprawę — powiedzmy — z takiego faktu, że moskalofilstwo, możliwe na Łemkowszczyźnie, coraz mniej ma racji bytu na Wołyniu, gdzie obserwujemy przedewszystkiem w cerkwi prawosławnej silną reakcję antyrosyjską nietylko przeciw hierarchji, ale i panującemu duchowi w tej cerkwi. Wyjaśnienia metr. Djonizego w sprawie ostatnich zajść poczajowskich, mimo wszystko, niewiele wyjaśniają. Nie należy też zapominać o problemie unji, bardzo zawiłym.

Przy całej świadomości tych i tym podobnych różnic, polityka nasza wobec Ukraińców musi odznaczać się jednak zarówno stanowczością, jak i ciągłością. Musi to być polityka w całem tego słowa znaczeniu autorytatywna, co

bynajmniej nie oznacza jakiegoś imperjalizmu czy ekstermi-nacjonizmu.

Ukraińcy muszą zrozumieć, że obowiązuje ich ta sama zasada unifikacjonizmu państwowego, który zastosowany został do wszystkich ziem-dzielnic polskich. Najwyższym korrelatem wszelkich ich poczynań i aspiracji politycznych musi być fakt istnienia silnego, zcentralizowanego w swej stolicy państwa polskiego. Fakt ten zresztą powinien być dla Ukraińców płodny w następstwa, dla nich korzystne. Ta ich inkorporacja do państwa polskiego stanowi jedyny środek przerwania izolacji od reszty społeczeństwa, a więc powinna otworzyć im drogę do urzędów i stanowisk w całem państwie, doprowadzić do zazębienia się ich życia społeczno-gospodarczego o całą gospodarkę państwową i t. d.

W przeprowadzeniu tego postulatu państwo nasze musi okazać dużo rozumu politycznego, siły i stanowczości, której brak konstatuje np. dr. Nazaruk na łamach „Nowej Zorji".

Przy całym nacisku na odpowiedni centralizm życia państwowego, nie powinien on jednak stanowić przeszkody do uznania pewnych zdrowych aspiracji autonomistycznych społeczeństwa ukraińskiego, np. w dziedzinie życia uniwersyteckiego, a wreszcie i administracji. Któż kwestjonuje związek Śląska z Polską, mimo istnienia sejmu w Katowicach? Nie idąc zbyt daleko, zwłaszcza w początkach, nie możemy jednak o tem zapominać.

Wogóle, jeśli chodzi o realizację całego programu, to obok ustalenia jego treści, należy ustalić i metodę przeprowadzenia. Zdrowy integralizm nie polega na tem, żeby choremu zaaplikować odrazu całą butelkę mikstury wraz z receptą, ale, by umiejętnie, chronologicznie dawkować. To, co w małej dawce jest lekarstwem, w wielkiej bywa najczęściej trucizną.

Dla jasnego sprecyzowania sprawy powiem, że o ile

Polska nie uważa ziem ukraińskich za kolonję, czy jakiś Hinterland lub strategiczny pomost, o tyle Ukraińcy nie mają racji uważać obecnego stanu rzeczy za okupację, aneksję etc. Wspólna, kilkusetletnia historja tych ziem polsko-ruskich wykreśliła im tak odrębny tor, że integracja ich do obecnej, czy jakiejś przyszłej, wymarzonej Ukrainy wydaje się poprostu krzywdą z tego punktu widzenia, jak krzywdą była aneksja Alzacji i Lotaryngji przez Niemcy w 1871.

Inna rzecz, to zainteresowanie losem pobratymców na Ukrainie sowieckiej. Jako wyraz pewnej solidarności humanitarystycznej, wzmocnionej przytem przez wspólność krwi, może być to nawet i piękne. Z tego też punktu widzenia należy oceniać ostatni list pasterski biskupów greko-kat., który szkoda, że tak słaby znalazł oddźwięk w naszem polskiem, katolickiem społeczeństwie.

Wiele racji przemawia za tem, by nasze społeczeństwo żywo zareagowało na ten apel, by ta reakcja nie wypadła słabiej od reakcji choćby Wiednia i katolickiej Austrji, czego wyrazem był głos kard. Initzera.

To zachęca mię do powtórzenia apelu ks. Biskupów:

„Zwracamy się ze wspólnem orędziem do wszystkich — czytamy tam — by wszystkich zjednać w miłości dla naszych braci, którzy cierpią. Chodzi o ratowanie naszego narodu, musimy więc być złączeni miłością Chrystusową do tego narodu. Ta miłość rozciąga się daleko poza granice naszej Prowincji Kościelnej i obejmuje wszystkich Ukraińców, a poza nimi wszystkich cierpiących, krzywdzonych i ubogich. Obejmuje ona wszystkich niezjednoczonych braci naszych, którzy nie mają wielkiego szczęścia należenia do Kościoła powszechnego, ustanowionego przez Chrystusa, oraz do obejmującego cały świat powszechnego bractwa miłości. Miłość nasza zwraca się z osobliwem współczuciem i bólem głębokim do tych, którzy za kordonami cierpią męki nieznośne i umierają z głodu. Na myśl o tem,

co się tam dzieje, dreszcz wstydu i współczucia przechodzi całą ludzkość. Ale to ogólne współczucie nie uratuje głodujących. Pomoc ludzka przy najlepszej woli mało może wobec ruiny straszliwej. Jesteśmy prawie bezsilnymi świadkami niesłychanych i niebywałych wydarzeń... Ponad to wszystko wiara krzepi nas obietnicą, że możemy uprosić z nieba miłosierdzie Boże...“

Jest dla mnie szczególną satysfakcją powtórzenie tego gorącego i tragicznego orędzia Episkopatu ukraińskiego właśnie na łamach „Naszej Przyszłości“, która w stosunku do Ukraińców kierowała się zawsze pobudkami humanitaryzmu najwyższej próby.

Uważam, że jest obowiązkiem każdego Polaka katolika jak najżywsze zareagowanie na ten apel nietylko w formie moralnego odruchu, ale i realnej pomocy.

Cierpiącym pobratymcom winniśmy pomoc, której okazanie będzie zresztą nietylko najlepszą legitymacją naszego ducha chrześcijańskiego, ale też i naszych rzetelnych tendencji względem ukraińskiego narodu. Przyjaciół poznaje się w potrzebie.

Ten akt miłosierdzia, rzecz oczywista, nie powinien zaciemnić nam właściwych perspektyw problemu ukraińskiego. Musimy dokładnie poznać i realnie ocenić wszystkie elementy tej rzeczywistości, z której składa się życie Ukraińców. Z dotychczasowych poczynań w dziedzinie zbliżenia z Ukraińcami zdaje się wynikać, że właśnie brakło nam tego realizmu politycznego, którego niedostatek wskazuje choćby dr. Nazaruk, Ukrainiec. Takie świadectwo jest chyba wiarogodne.

Jeśli chodzi o ten realizm polityczny, to należy zauważyć przedewszystkiem, że społeczeństwo ukraińskie jest kadłubowem, że niedostaje mu elity, zdolnej sprawować władzę. Stąd te wszystkie potknięcia, te wszystkie zmarnowane okazje przez samychże Ukraińców.

W podsuwaniu zaś tych okazji, wszystko jedno z czy-

jej strony, zawsze da się obserwować błąd, polegający na traktowaniu Ukraińców na zasadach, że tak powiem „politycznej chemji organicznej“, gdy chwilowo wystarczyłyby formuły fizyczne o mieszaninach. Ukraińcy nie są pełnem społeczeństwem — to jest fakt elementarny, z którego zarówno oni sami, jak i ich kontrahenci muszą zdać sobie sprawę.

W tych warunkach zasługą „Naszej Przyszłości“ pozostanie, że nie widząc możności trwałych wyników t. zw. współpracy polsko-ukraińskiej przy obecnym stanie społeczeństwa ukraińskiego, rzuciła myśl eliminacji w jego łonie elity w duchu pojęć zachodnio-europejskich.

Potrzeba wyłonienia się takiej elity jest jasna dla każdego, umiejącego myśleć kategorjami, naprawdę ogólno-politycznemi, bez różnych okolicznościowych zabarwień uczuciowych. Czy tak umie myśleć przeważna część społeczeństwa ukraińskiego? Strzały do Hołówki i strzały Łemyka do urzędnika sowieckiego wydają się temu przeczyć.

Gdy przed paru laty wydało się możliwem pewnym czynnikom skierować lufę rewolweru w pierś takiego działacza, jak Hołówko, czemuż to obecnie nie dali oni prikazu — jak wyznał Łemyk — strzelania do polskiej policji? Czy tak dalece poprawiły się stosunki polsko-ukraińskie? Chyba nie, ale zato popsuły się stosunki na Ukrainie radzieckiej, więc w pierwszym porywie kazano strzelać do przedstawiciela Sowietów. Wbrew pozorom, przemyślenia te są to tylko rozpaczliwe odruchy, które muszą wprowadzać zamęt nietylko do stosunków Ukraińców z innemi społeczeństwami, ale i do własnego życia społecznego. Jak dalece ten rozpaczliwy gest poruszył uczuciową stronę Ukraińców przy całkowitem nieomal zaniedbaniu momentów refleksyjnych, świadczy zgłoszenie się do obrony Łemyka adwokatów ze

wszystkich obozów, nie wyłączając i dr. Nazaruka. Ten akt solidarności niema nic wspólnego z jakimś realizmem politycznym, a jest poprostu podkreśleniem zupełnego nieopanowania się i braku dyscypliny, charakteryzującego całe społeczeństwo, a nie tylko nieszczęsnego Łemyka i jego mocodawców, pozostających za kulisami.

Trzeba się zatem dobrze wmyśleć w psychikę społeczeństwa, które zdolne jest posuwać się jednocześnie po tak sprzecznych dwu torach: z jednej strony wsłuchiwać się w orędzie swych arcypasterzy, nawołujące do żałoby, akcji miłosierdzia i poprostu przeciw bolszewickiemu terrorowi, z drugiej reżyserować, czy akceptować akty terroru ze swej strony [1]).

Zbyt tragiczne są to sprzeczności, by świadczyły o zdrowiu i dojrzałości politycznej tego społeczeństwa. Mówiąc o tem, nie mamy na celu jakiegoś znęcania się, czy wyszydzania, ale chcemy poprostu możliwie krytycznie przeanalizować istniejącą rzeczywistość, która składa się na istnienie owej „Sali przerażenia", jak ją nazwał dr. Nazaruk, w tej części Europy. Że ta sala istnieje za Zbruczem, w Naddnieprzu, to jest może zrozumiałe. Po co jednak w obrębie państwa polskiego Ukraińcy stwarzają pozory położenia równie beznadziejnego, jak pod czerwonym caratem, tego pojąć nie sposób! Realizm polityczny nakazywałby im chyba rozróżniać między złem prawdziwem, a fikcją zła, sztucznie przez podniecone umysły wyimaginowaną.

Pozostaję, Szanowny Panie Redaktorze, szczerze oddany

Józef St. Czarnecki

---

[1]) Ten moment nie odnosi się oczywiście do pewnych umiarkowanych sfer ukraińskich wobec zdecydowanego oświadczenia ze strony Ukraińskiej Narodnej Obnowy, które zamieściliśmy poprzednio. (Przyp. Red.).

KRONIKA WSPÓŁCZESNA.

RUCH NOWATORSKI.

Skonstatować można i trzeba, że powojenny szał nowatorski, który spłodził tyle szkodliwych dziwactw na wszystkich polach, osłabł bardzo znacznie w ostatnich latach, ustępując coraz bardziej miejsca użytecznemu otrzeźwieniu i wskazaniom zdrowego rozsądku. Jest to po części wynikiem dotkliwego doświadczenia, ale bez żadnej kwestji także zasługą panującego obecnie u nas reżimu, poczuwającego się daleko więcej do odpowiedzialności za kierunek, jaki państwu i społeczeństwu nadaje, niż poprzednie, lekkomyślne rządy demokratyczne wszelakich odcieni.

Jest dzisiaj w każdym razie lepiej i jaśniej w dziedzinie zdrowego rozsądku, niż było temu lat kilka, a tembardziej kilkanaście. Ale niemasz i tej reguły bez wyjątku. Rzecz jasna, że brakło jeszcze czasu, aby wszystkie rozbujałe flukta powojenne uspokoić i rozgładzić. To też tu i ówdzie spotykamy jeszcze jaskrawe nonsensy.

I tak, nie można zaprzeczyć, że słuszną i pożyteczną rzeczą może być rzeczowa krytyka, a chwalebną jest nawet autokrytyka, nacechowana zaparciem się siebie. Zwłaszcza naród tęgi i zdrowy powinien analizować sprawiedliwie swe dążności i dzieła i nie pogrążać się we własnej adoracji. Ale rzecz jasna, że i najlepsze zamierzenie winno mieć swe granice. Przesada, nawet w dobrym kierunku, staje się zawsze czemś złem. Swego czasu napiętnowaliśmy należycie na łamach tego pisma krucjatę, jaką podjęła powojenna, zarozumiała, a w istocie swej karłowata myśl pseudointeligentna przeciw genjalnym dziełom naszej literatury

(p. art. „Bunt inteligencji"). Rozmaite literackie karzełki porwały się na herostratowe przedsięwzięcie zdyskredytowania w opinji ogółu — i tak już aż nadto zbakierowanej — arcydzieł literatury i sztuki, wysuwając na ich miejsce różne nowoczesne, chorobliwe dziwadła bez prawdziwego talentu. Ale w ostatnich czasach kampanja ta przybrała ostrzejsze jeszcze formy, a przedewszystkiem szkodliwsze, przywdziewając togę „prawdziwej" miłości ojczyzny.

Wypędza się, a raczej usiłuje się wypędzić ze szkół — Sienkiewicza! Z łaskawą pobłażliwością pozostawia się lekturze uczniów jakichś parę jego pomniejszych nowelek, płodów literackiej młodości mistrza, ale proponuje się wyrzucenie z programu szkolnego Ogniem i Mieczem, jako widocznie arcyniebezpiecznego dla dzisiejszej mocarstwowej potęgi państwa. Nie wiemy, kto pierwszy ruszył z tym konceptem i nie chcemy tego dochodzić. Obojętne są nam personalja, chodzi o fakt, o rzecz. A rzecz ta jest najoczywistszym nonsensem z każdego punktu widzenia.

Nie w sztucznych, ad usum nowatorskiej chwały danego osobnika sfabrykowanych koncepcjach przejawia się duch narodu, ale w wielkich dziełach kultury, niejako organicznie z niego wyłonionych. Opinja jakiegoś „eksperta" szkolnego, czy jakiegoś nawet urzędu, nie wypędzi z narodowego dobytku arcydzieła, które w wybitnym stopniu wpłynęło na korzystną ewolucję psychiki narodowej w kierunku wzmocnienia tężyzny. Jest to ze strony owego „eksperta" porwanie się z motyką na słońce, które samym swym absurdem spotęguje tylko cześć dla Trylogji we wszystkich sferach i stronnictwach społeczeństwa — we wszystkich, bez wyjątku. Bo tego, co jest wielkie i genjalne, co urobiło organicznie ducha narodowego, co wyrwało nas z popowstaniowego marazmu i wzmocniło narodowe (a na przyszłość i państwowo-mocarstwowe) samopoczucie, tego przecież żadne sztuczne rozporządzenie,

czy vade mecum pedagogiczne nie wyeliminuje ze skarbnicy narodowej. Poczynanie całkiem beznadziejne.

Ale tymczasem kampanja ta z najwyższym wykwitem poskiej literatury wywołuje przedewszystkem niezmiernie ujemne skutki polityczne, wprost przeciwne prawdziwie mocarstwowej polityce obecnych rządów, które tak skutecznie potrafiły autoryt władzy wewnątrz kraju, a autorytet Polski zagranicą ugruntować. Wypędza się bowiem najgenjalniejsze dzieło Sienkiewicza ze szkół dlatego, aby się przypodobać za wszelką cenę — Ukraińcom!! Ludzie, którzy to czynią, nie mają najmniejszego wyobrażenia o dynamice politycznej. Wszak każdy — bez wyjątku — Ukrainiec i każdy zagranicznik kpić sobie musi z aż tak daleko posuniętego płaszczenia się naszego wobec zamachowców z ukraińskich organizacji terrorystycznych! Innego wrażenia takie pociągnięcie z polskiej strony nie zrobi, mimo wszelkich argumentacji tych, którzy tej ekspulsji chcą dokonać. Żaden Francuz, ani Anglik, ani Włoch, ani Niemiec nie zrozumałby, dlaczego z jakichś skomplikowanych względów politycznych miałoby się z ich szkół wypędzać Wiktora Hugo, Szekspira, Dantego lub Goethego, czy Schillera. A już „problemu ukraińskiego" w żadnym razie nie rozwiąże się aż tak daleko posuniętą czołobitnością wobec Ukraińców, nawet wówczas, gdyby się im „zakazało" czytać dzieł Szewczenki.

Jest to bez żadnej kwestji tylko poniżanie godności narodowej i państwowej — i nic więcej!

W innej dziedzinie, h i s t o r y c z n e j, przybiera ruch nowatorski nieraz także niepożądane, przesadzone rozmiary. Wiemy doskonale, że dziejopisarstwo nasze przetkane jest gęsto fałszami, legendami, a nawet romantycznemi nieprawdopodobieństwami, wykwitłemi w długiej epoce upadku i niewoli. Niedola narodu podnieciła uczuciowość i romantyzm i przeczuliła pióra dziejopisarzy. Skrępowanie polityczne historjografji polskiej i utru-

dniony dostęp do różnych archiwów dokonały reszty. Historja polska, jakiej uczono nas do niedawna w szkołach, przedstawia się często w postaci legend.

Trudno się dziwić, że tak się stało pod obcym uciskiem i zaborem. Ale dzisiaj, gdy Polska nietylko odzyskała byt niepodległy, ale wzmocniła się nawet do mocarstwowej roli, stać nas już na rozumną, objektywną rewizję przeszłości. Prawdziwie mocarstwowy naród nie powinien obawiać się — prawdy! Odsłonięcie „rzeczywistej rzeczywistości“ w dziejach naszych tylko korzyść nam przyniesie, dostarczając przedewszystkiem zbawiennej nauki na przyszłość.

Jako wyznawcy dawnej historycznej szkoły krakowskiej, która pierwsza odsłoniła zgnębionemu i przeromantyzowanemu narodowi gorżką prawdę dziejową, a przez to nauczyła go realnie i pozytywnie myśleć o ojczyźnie, uznajemy pierwsi konieczność i celowość rewizji wspomnianych legend w duchu zdrowego objektywizmu. Ale — bez przesady!

Zasługa szkoły krakowskiej była olbrzymią. Zarzut defetyzmu, który ją spotkał ze strony porywczych a powierzchownych oponentów, jest oczywistym absurdem. Bo szkoła ta, wskazując narodowi na ciężkie błędy popełnione, wskazała mu właśnie z niezachwianym optymizmem drogę do odrodzenia, a przez to i do należytego przygotowania się na możliwą korzystną konjunkturę odzyskania niepodległości. Wszak jeżeli dzisiaj — i oddawna — hasło naprawy ustroju państwa i różnorakie tendencje w tym kierunku były i są bezsporne, powszechne, a różnią się tylko w szczegółach, to jest to niewątpliwie zasługą długoletniej działalności historycznej szkoły krakowskiej w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

Dlatego, powtarzamy, trzeba obalić legendy i wydobyć na wierzch istotną prawdę. Jest to zadanie pilne i godne wielkiego narodu, rozwijającego się w zdrowem poczu-

ciu swej siły i tężyzny. Chodzi jednak o to, aby uchronić się od szkodliwej przesady. Trudno nam narazie wypowiedzieć się jasno i zdecydowanie o dyskusji, jaka zawrzała w ostatnim czasie na ten temat w świecie naukowym, gdyż jest to dopiero początek, w którym ścierają się nietylko argumenty naukowe, ale — jak z początkiem każdego silniejszego odruchu zwykle bywa — także uczucia i punkty widzenia, z których różni badacze przyzwyczaili się traktować swą wiedzę.

Stąd możemy narazie mówić tylko o pewnych naszych wrażeniach i zalecić jak najwięcej umiarkowane traktowanie sprawy. W zbyt namiętnej walce łatwo można się zagalopować i wyskoczyć — poza prawdę! W każdym razie wyczuwamy, że nie trzeba przesadzać w krytycyźmie, nie trzeba obalać za jednym zamachem przeszłości na podstawie jakiegoś jednego, świeżo odkrytego źródła, listu, czy dokumentu, który odnosi się do jakiegoś wąskiego odcinka danej sprawy i przy spokojnej analizie okazać się może zbyt subjektywnie ujętym. Przecież i dawniej, jak i dziś, nie wszystkie papiery, dokumenty, notatki i listy mogły być odbiciem istotnej, objektywnej prawdy. Nie każdy pergamin musi być odrazu Ewengelją!

Nie należy przesadzać, nie należy twierdzić, że cała historja polska jest sfałszowana, że przeszłość nasza niewiele warta. W najsurowszej krytyce musi być pewna miara, której przekroczenie niekorzystnie wpłynie i na samo naukowe badanie prawdy i na psychikę społeczeństwa i na autorytet Polski zagranicą.

Jakkolwiek wiele złego było w dawnej Polsce, skoro potężne ongiś państwo przywiodło się samo do upadku, to jednak nie wszystko aż tak złem było, jak to twierdzi świeży ruch rewizjonistyczny. Ma ten ruch w gruncie rzeczy rację, ale — zdaniem naszem — ze zbytnim rozmachem chce burzyć taranem dawne mury. Ta Polska, tak surowo krytykowana, dużo jednak dała światu, o czem tu nie

miejsce się rozpisywać, ale co umożliwiło jej tak potężne zmartwychwstanie, wszechstronny rozwój dzisiejszy mimo ciężkiego ogólnoświatowego położenia i obecną, coraz wybitniejszą rolę w Europie. Gdyby zbyt źle było z tą naszą przeszłością dziejową, to i teraźniejszość nie byłaby tak stosunkowo pomyślna, jaką jest w istocie.

Dlatego ostrożnie z krytyką, ostrożnie z rewizjonizmem historycznym, choćby w zasadzie słusznym i pożytecznym!

A już stanowczo nie zgadzamy się na zbytnią pochopność, jaką tu i ówdzie konstatujemy, w krytykowaniu, a więc w rezultacie w obniżaniu dzielności dawnego polskiego żołnierza, która przeszła w chlubną tradycję u wszystkich narodów, której reminiscencje podtrzymywały nas na duchu w najchmurniejszej epoce upadku i z której wyrosła także dzielność wojskowa dzisiejszej odrodzonej Ojczyzny! Objektywizm historyczny zabrania, mimo różnych naszych klęsk wojennych w minionych wiekach, mimo nawet sporadycznych objawów chwilowego defetyzmu i paniki (Piławce i t. d.), które zawsze i wszędzie zdarzyć się mogą, obniżanie wrodzonej — „sarmackiej" — dzielności wojskowej Polaków, która od Hundsfeldu po przez Grunwald, Wiedeń i Sommosierrę, aż po „cud nad Wisłą", złożyła chlubne świadectwo wrodzonej dzielności orężnej narodu. Nie wolno iść aż tak daleko w krytycyźmie, żeby — nawet na podstawie jakiegoś sporadycznego dokumentu — stawiać niżej żołnierza polskiego od pierwszego lepszego obcego wojaka, Niemca, Szweda, Kozaka, Turka czy Tatara. Bo, gdyby tak było, to nie bylibyśmy wygrali kampanji 1920 r.

Napoleon nie byłby w stanie stworzyć swej Wielkiej Armji, ani żaden generał obecnej Republiki francuskiej nie byłby w stanie wygrać Marny, ani obronić Verdunu, gdyby naród francuski nie miał swej prastarej tradycji dzielności żołnierskiej od czasów Ludwika XIV-go lub wcześniej-

szej jeszcze, po przez bohaterskie walki żołnierzy Marsyljanki przeciw całej ówczesnej Europie. Podobnie Piłsudski nie byłby w stanie odeprzeć bolszewickiej nawały z armją ledwie wskrzeszonego państwa, do tego napoły ochotniczą, gdyby w żyłach tego młodego polskiego żołnierza nie płynęła krew, zaprawiona tradycją powstań, legjonów Dąbrowskiego, wiedeńską, chocimską i t. d. Bo naprawdę dzielnej armji, bez tradycji i wzorów, nie stworzy nawet najgenjalniejszy wódz jednem tupnięciem nogi, ale istnieć ona musi, przynajmniej potencjalnie, w dłuższej tradycji i we krwi danego narodu. Jest to rzecz bezsporna i uznana na całym świecie i nowocześni nowatorzy tej prawdy nie obalą. A wielkość wodza polega właśnie na tem, że w danych momentach potrafi tę tradycyjną dzielność wojskową z narodu wykrzesać.

Na złe drogi wchodzi zbyt gorliwe nowatorstwo. Stanowczo psuje podjęte przed blisko ośmiu laty dzieło Naprawy Rzeczypospolitej. Nikogo nie przekonają zbyt daleko posunięte twierdzenia, same skompromitują się, a sprawie Polski mocarstwowej bardzo zaszkodzą.

Trzeba stanowczo z tem skończyć.

Obok tych spraw poważnych mnożą się inne jeszcze nowatorskie zakusy, mniej poważne i szkodliwe, ale nieraz śmieszne i dotkliwe. A wszystkie one pochodzą, zdaniem naszem, z braku na serjo zajęcia i z chęci wyróżnienia się za wszelką cenę. Do takich przedsięwzięć należy np. organizacja Parku Narodowego w Tatrach, którą pozwalamy sobie nazwać bez ogródki: etatyzacją Tatr.

Rząd tu nic nie jest winien. Rząd tworzy rzecz bardzo piękną i użyteczną — park narodowy. A etatyzacja, jak dzisiaj wogóle, idzie zdołu, od społeczeństwa, od pewnych — używając dziennikarskiego żargonu — osób „wybitnych". Te wybitne osoby, czysto prywatne, a powołane do powiedzenia czegoś w sprawie parku narodowego i ochrony przyrody Tatr, nie mają żadnej innj koncepcji, jak

sięgnięcie do pruskich wzorów: Verboten! verboten! i jeszcze raz: verboten! Obstawiają urocze Tatry strażnikami, ścierają znaki turystyczne, chcą pobierać opłaty za wstęp do każdej doliny, za każdy piękny widok. Na każdym kroku etatyzm, zakaz, nakaz, policjant, ustawa, rozporządzenie, taksa i t. p.

Naszem zdaniem, jak się już coś robi, to trzeba robić gruntownie, integralnie. Gdy ktoś chce się à autrance odznaczyć i zapisać złotemi głoskami w aktach etatyzmu, to niech przynajmniej zrobi to gruntownie! A więc pozwalamy sobie doradzić owym zacnym „ochraniaczom przyrody Tatr“ — podobno nawet profesorom i literatom — aby wogóle zamknęli dostęp do gór. Bo i poco mają się turyści, czy inni jacyś narciarze włóczyć po Tatrach i zanieczyszczać urocze zakątki? Lepiej zaproponować utworzenie z Funduszu bezrobocia gwardji strażniczej, któraby z karabinem w ręku otoczyła Tatry z polskiej strony i nie dopuszczała natrętnych turystów. Tym powinien wystarczyć widok z Gubałówki, albo z okien cukierni Trzaski. Chyba, że przyjedzie jakiś komiwojażer lub dziennikarz zagraniczny, to można go — w odpowiedniej asyście członków Ochrony przyrody Tatr — do Morskiego Oka zawieźć oficjalnym automobilem.

Nadto proponujemy reorganizację (niepotrzebnego) Muzeum im. Chałubińskiego na specjalny Urząd Statystyczny (ciesz się bezrobotna inteligencjo: nowy urząd, nowe posady!) celem systematycznej rejestracji wszystkich gencjan, szarotek, kozic, świstaków i innych wybitnych okazów tatrzańskiej fauny i flory. A kozicom i świstakom trzeba stanowczo wystawić dowody osobiste i poprzywieszać odpowiednie marki rejestracyjne na obróżach.

Bo jak już, to już! Nie lubimy roboty połowicznej!

LOS POCZCIWEGO CZŁOWIEKA.

Nie poruszamy w kronice naszej spraw, które stanowią temat prasy codziennej, lub perjodyków fachowych. Rzecz jasna — nie ma potrzeby „Nasza Przyszłość“ powtarzać tego, o czem inni aż do przesytu piszą. Rezerwujemy sobie sprawy specjalne. A do takich spraw, bardzo żywych, bardzo aktualnych i wielce dotkliwych, należy pewna powszechna bolączka, pewien generalny problem powojenny, który tysiącom ludzi srodze dokucza i pomyślny rozwój wielu rzeczy bardzo dotkliwie hamuje.

Już nawet i najobojętniejszych, nawet tych, którzy w pogoni za codziennym, doraźnym interesem nie mają zwyczaju zastanawiać się nad ogólnem położeniem, uderzyć chyba musiało to, co dzisiaj na świecie w tem właśnie codziennem życiu — indywidualnem i zbiorowem — ponad wszystkiem jaskrawo góruje. A jest to ten tak liczny, tak masowy szereg skandali z dziedziny prostego złodziejstwa na większą i mniejszą skalę, jakiego dotąd dzieje cywilizacji chyba nie znały!

Nieuczciwości nie brak było oczywiście w żadnej epoce. Ale to, co się obecnie powszechnie dzieje w państwach cywilizowanych, przechodzi stanowczo miarę przeciętnej statystyki złodziejskiej. Czytając gazety — i to tylko sprawdzone wiadomości — dochodzi człowiek do przekonania, że chyba we wszystkich warstwach, od góry do dołu (a zwłaszcza od góry), nieuczciwość jest regułą, a uczciwość chwalebnym wyjątkiem! Może jeszcze nawet licznym, ale bądź co bądź tylko wyjątkiem. Wszak jedna po drugiej z wybitnych, głośnych osobistości na wielkiej arenie światowej, która przez pewien czas staje się niemal arbitrem ekonomicznych, a w konsekwencji także w pewnym stopniu i politycznych losów państw i nawet całych kontynentów, zapada się raz po raz z krachem finansowego skandalu i albo w łeb sobie strzela, albo osiada za kratą, albo

conajmniej przechodzi przez gabinet sędziego śledczego i opuszcza go z piętnem złej, albo wątpliwej opinji.

Raz wraz rozczytujemy się w dziennikach — i to wśród tak sensacyjnych szczegółów, wobec których blednie fantazja najbardziej atrakcyjnych powieści kryminalistycznych — że ten i ów z większych lub mniejszych królów finansowych, który do niedawna chadzał w aureoli pioniera przemysłu i finansów, posiadał wielkie wpływy i renomę wybitnego finansisty i wybitnego patrjoty, przed którym wszystko się kłaniało i rozdzierało go sobie do salonów, którego poglądy na sprawy polityczno-gospodarcze były na naczelnych miejscach zamieszczane w dziennikach, demaskuje się nagle jako pospolity złodziej, lub conajmniej oszust podatkowy na grubą skalę, albo wogóle, jako ciemna figura, która niewiedzieć jaką sztuką magiczną potrafiła przez tyle a tyle lat jednać sobie zaufanie, czołobitność i wprost ślepą wiarę całego świata?!

Ale, ponad wszystkie te fakta i refleksje, narzuca się przeciętnemu „poczciwemu" człowiekowi jedno przedewszystkiem pytanie: jakim sposobem w obecnych, niezmiernie ciężkich gospodarczo czasach, kiedy na żadne, choćby skromne, choćby najużyteczniejsze przedsięwzięcie niepodobna wydobyć od ludzi szczupłych nawet funduszów, kiedy wszyscy narzekają na rujnujący brak gotówki, to wielcy i mali oszuści mają zawsze do dyspozycji wiarę, kredyt i duże pieniądze, składane im w darze? Niema na potrzeby państwa, niema na egzystencję uczciwych, naprawdę użytecznych przedsiębiorstw, niema na potrzeby prywatne, ale znajdują się zawsze zdumiewająco wielkie sumy na oszustów i innych wydrwigroszów, którzy — nieraz mimo wiadomej ogółowi różnorodnej przeszłości życiowej — cieszą się jakoś ogólnem zaufaniem? Zaiste, widząc to wszystko, co się na tem polu od kilkunastu lat dzieje, człowiek zaczyna wierzyć w magję średniowieczną i w sugestię mas, nawet najbardziej inteligentnych i gospodarczo fachowych

mas! Bo byłoby jeszcze rzeczą bardziej zrozumiałą, gdyby chodziło o wypadki z ludźmi, którzy, do pewnego czasu nieposzlakowani, zdemaskowali się nagle, jako ciemne postacie lub ulegali jakiejś chwilowej pokusie. Ależ zbyt często widzimy na piedestale finansowym ludzi, co do których przeszłości ma świat, a przynajmniej bliżsi ich ziomkowie, poważne wątpliwości, widzimy na takim piedestaje ludzi, którym np. dziesięć, czy piętnaście lat temu nikt ręki nie chciał podać wobec dość poważnych zarzutów. A jednak, mimo tego ciemnego curriculum vitae, o którem szepcą sobie wszyscy nawet głośno, osobnik taki wypływa na karygodnej naiwności lub bierności swych ziomków nagle na piedestał wielkiego finansisty i wpływowego obywatela, wybierany bywa skwapliwie do wszelakich zarządów i rad nadzorczych, kumuluje fantastyczne wynagrodzenia, roztacza na wszystkich sugestję swej niezbędności, skupuje wielkie pakiety akcji, dobra, kamienice, banki i fabryki, jego słowo staje się bezkrytycznie prawem w sferach gospodarczych i innych, aż wreszcie strzał rewolwerowy, lub akt oskarżenia przerywają nagle tę meteoryczną karjerę, kompromitując w pierwszym rzędzie tych wszystkich, którzy leżeli dotąd w serwilistycznym zachwycie u stóp tego „wybitnego“ osobnika.

A wśród demokratycznych systemów zagranicą zdemaskowanie takiego finansowego hipnotyzera pociąga niemal z reguły kompromitację nawet czynników oficjalnych, ujawniając skandaliczną, nieprawdopodobną ekspansję sieci oszustw i brudów wszelkiego rodzaju na ministrów, posłów i innych dygnitarzy.

Co tu, wobec tego, prawić o wywrotowości i bezbożnictwie doktryny bolszewickiej! Wszak „zgniły zachód“, zwłaszcza istotnie zgniły zachodni „kapitalizm“ płodzi w swoim rodzaju nie mniejszy przewrót pojęć etycznych, a bezskrupulatność burżuazyjnego sumienia nie ustę-

puje w niczem skrajnej doktrynie komunistycznej o bezskrupulatności sumienia rewolucyjnego!

A na tle tego niebywałego, masowego zepsucia, upadku i wołającej o pomstę bezkrytyczności tych wszystkich, którzy przez prostych łobuzów dają się naciągać i w nich przez długie nieraz lata ślepo wierzą, niewiedzieć na jakiej podstawie — jakże smutnie, fatalnie, rażąco niesprawiedliwie odbija los „poczciwego człowieka". Kto to jest ten poczciwy człowiek? To ten, kto solidnie, nawet z talentem pracuje, studja i doświadczenie w swoim zawodzie posiada, ale który ma tę, w dzisiejszych czasach niezmiernie ujemną i widocznie niewygodną dla ogółu wadę, że nie kradnie, nie kombinuje, nie oszukuje, jest w porządku z władzą podatkową, nie umie rzucać piaskiem w oczy, nie ma daru hipnotyzowania ludzi fatamorganą nadzwyczajnych zysków, a przedewszystkiem nie daje się użyć za powolne, a zręczne narzędzie do wszelakich ciemniejszych afer i sprygciarskich kombinacji.

Taki człowiek, choćby był nazdolniejszym i mógł się chlubnem curriculum vitae wykazać, ma jakoś wszystkie drzwi zamknięte! Jest chwalony, owszem, owszem — ale nizmiernie mu trudno iść naprzód, a nieraz nawet uzyskać choćby kawałek chleba. Dziwne myśli cisną się mimowoli do głowy!

A tem dziwniejszą jest cała ta niesamowita sytuacja, że dzieje się to wszystko nie w ustroju otwartej rewolucyjnej doktryny, gdzieby wyraźnie postanowiono zasadę, że białe jest czarnem, a czarne białem. Tam przynajmniej nie byłoby hipokryzji i każdy wiedziałby oficjalnie, czego się trzymać. Ale ten obecny melanż wyśrubowanej cnoty z powszchną amoralnością, wzniosłych haseł z niesłychanie niskim poziomem etycznym, nadmiernej surowości wymagań kwalifikacyjnych, stosowanych wobec ogółu uczciwych ludzi, z karygodną bezkrytycznością i pobłażliwością, stosowaną wobec wszelakich drapichróstów, przesadna

ostrożność w zasilaniu pieniędzmi zamierzeń użytecznych, solidnych, z niebywałą rozrzutnością na wszelaką spryciarską inicjatywę, byle otoczoną nimbem jakiegoś wyimaginowanego „wybitnictwa“—to wszystko razem wytwarza atmosferę kompletnego absurdu i daleko groźniejsze dla przyszłości zachodniej kultury i kapitalizmu memento, niż najsilniejsze jawnie wywrotowe podmuchy.

U nas, w Polsce, gdzie — dzięki stosunkowo miękkiej naturze społeczeństwa i prastarym tradycjom liberalizmu z jednej, a głęboko zakorzenionym uczuciom religijnym z drugiej strony — wszelkie przejawy i przemiany w życiu publicznem i w mentalności ogółu odbywają się daleko mniej ostro i jaskrawo, niż zagranicą, także i ten rozmiar zepsucia i absurdu, o których mowa, znacznie jest mniejszy i łagodniejszy. Najmniej ejdnak i u nas szerzy się ta zaraza w stopniu aż nadto dotkliwym. Mnożą się skandale, chociaż w części może dlatego się mnożą, że energiczny system rządzenia i czyszczenia ujawnia różne rzeczy, które dawniej rozwijały się w ukryciu. Pękają albo rozcinane są różne wrzody, które oddawna wzbierały. Wyjaśniają się różne ciemne, do niedawna zagadkowe sprawy i karjery, ale niestety wyjaśnienie to zaciemnia widnokrąg: ponury obraz ogólnej moralności społeczeństwa występuje w smutnych barwach. Prawdziwie solidnym ludziom zaczyna być ciasno. Tracą coraz bardziej możliwości produktywnej pracy i grunt pod nogami.

I stanowczo twierdzimy, że kryzys gospodarczy, na który wszystko zwykło się zwalać, tylko w pewnej mierze przyczynia się do tego upadku. Nie wolno wszystkiego usprawiedliwiać kryzysem! Wszak skandale, o których mowa, nie dzieją się w sferach ubogich i bezrobotnych. Dobór ludzi do różnych przedsiębiorstw finansowych i gospodarczych prywatnych nie zależy od sfer, specjalnie dotkniętych kryzysem. Przeciwnie — zepsucie płynie najczęściej

nie od tych, którzy nic nie posiadają, ale od tych, którzy chcą posiadać coraz więcej i więcej.

To zmienić się musi i mamy nadzieję, że się zmieni. Przedewszystkiem bezgraniczna ufność ludzka w dźwięk różnych nazwisk ustąpić musi miejsca krytyczniejszej ocenie. Nauczmy się raz—przynajmniej na własnej skórze—patrzeć więcej na to, co się robi, niż kto robi. Bezkrytyczność sądu o ludziach i rzeczach przekracza u nas, nawet w inteligentnych sferach, nieraz wszelkie granice. Żyjemy ciągle w psychozie niezdrowych atrakcji. Spieszą ludzie tłumnie np. na odczyt jakiegoś mówcy, który zdobył sobie jakimś sposobem renomę głośnego i wybitnego. Spieszą owczym pędem, niewiele myśląc o temacie odczytu, a już wcale nie analizując tego, że taki mówca nieraz bzdury lub komunały prawi. Podobnie spoglądają ludzie z zachwytem i czołobitnością, niepozbawioną odcienia zabawnego snobizmu, na różne jednostki, którym się jakoś poszczęściło, nie analizując wcale ich przeszłości, dróg i metod działania, ani ich istotnej użyteczności publicznej.

I w tym braku zdrowego krytycyzmu leży główne źródło kroniki skandalicznej, która się przed oczyma ogółu codzień na łamach gazet ujawnia. Jak to możliwe?! — wykrzykują ze zdumieniem czytelnicy, dowiadując się o nagłej katastrofie tej lub owej wybitnej jednostki lub przedsiębiorstwa, o zdewualowaniu jakichś brudów. Nietylko możliwe jest, ale i całkiem naturalne wobec braku racjonalnego krytycyzmu w opinji publicznej, która często z gołębią naiwnością rozwój takich karjer i takich machinacji toleruje, adoruje i wprost hoduje! A w przeciwieństwie do tego, z absurdalnym krytycyzmem odnosi się do wielu ludzi solidnych i zamierzeń użytecznych. Znaną jest u nas rzeczą, że każda niemal użyteczna inicjatywa, nie geszefciarska, nie spryciarska, nie grająca na snobiźmie ludzkim i nie rzucająca w oczy piaskiem niezdrowych atrakcji, spotyka się z reguły z wrogim nastrojem opinji. Ręce mogą opaść,

gdy się widzi, jak użyteczne, wytrwałe, celowe wysiłki, które istotnie mogłyby coś stworzyć, idą na marne, miażdżone są wprost obuchem owej bezkrytycznej, niewytłumaczalnie wrogiej mentalności ogółu — a jak z drugiej strony aferują się ludzie sprawami i topią w nich pieniądze, gdy jasnem jest d'a baczniejszego obserwatora, że z tych zamierzeń nic pożytecznego wyjść nie może!

Kronikę skandaliczną trzeba nareszcie wyeliminować odrodzeniem zdrowego, krytycznego rozsądku i pamiętać zawsze, że nie wszystki złoto, co się świeci.

PROBLEM DZIENNIKA KATOLICKIEGO

Niestety, tak musimy zatytułować tę nader przykrą i upokarzającą dla katolickiego społeczeństwa polskiego sprawę. Stworzenie poważnego organu codziennego prasy katolickiej jest w „katolickiej" Polsce „problemem"! Mamy oczywiście na myśli duży, naprawdę poważny, naprawdę nadrzędny dziennik, nie stojący naprawdę na usługach żadnej partji, ale będący rzetelnym wyrazem katolickiego światopoglądu.

A takiego dziennika u nas jeszcze nie było, niema i narazie nie widzimy realnej możliwości jego powstania. I zaraz zgóry zastrzec się musimy, że — według naszego doświadczenia i przekonania — podrzędną rolę gra w tem kwestja finansowa, a główną natomiast i decydującą generalny brak woli. Niech nam ktokolwiek spróbuje zanegować — ze świętem oburzeniem i z ulubioną wymówką „kryzysu gospodarczego" — my pozwalamy sobie mimo to twierdzić stanowczo, *że polski świat katolicki nie chce własnego poważnego dziennika i dlatego go niema!*

Pieniądze w kraju są, coprawda nierównomiernie rozdzielone, ale są. Wielu ludzi ich nie posiada, nawet wielu

z pośród tych, którzy mają dość duży majątek w innych walorach. Ale wielu jeszcze posiada duże kapitały i bardzo duże nieraz dochody. Są nawet tacy, coprawda nieliczni, którzy nie wiedzą, co z pieniędzmi robić i bezmyślnie skupują i sprzedają naprzemian kamienice, folwarki i inne objekty, z których właściwie żadnej nie mają korzyści materjalnej, ani nawet satysfakcji moralnej.

Topią się wciąż jeszcze tu i ówdzie znaczne stosunkowo kwoty na różne efemeryczne przedsięwzięcia, bez żadnej trwałości, ani głębszego znaczenia, częstokroć li tylko z chwilowej afektacji lub śmiesznego, jałowego snobizmu, czy reklamizmu. A w życiu prywatnem cierpią wprawdzie liczne sfery dotkliwy nieraz niedostatek, ale również liczne sfery żyją w istocie tak, jak gdyby żadnego kryzysu nie było i wszystko, co ich zwyczajom i wygodzie dogadza, być musi — pieniądze na to znaleźć się „muszą“, choćby się świat miał zawalić. Warszawa zwłaszcza skarży się i jęczy głośno na kryzys, ale bawi się w karnawle do upadłego, wielki zjazd ze wsi, tualety, balów bez liku.

Bo to być musi, prędzej ziemia niech się wywróci w swym biegu!

Nie, brak pieniądza stanowczo nie grałby roli, gdyby nasz świat katolicki rozumiał naprawdę potrzebę poważnego, specjalnie redagowanego organu i okazał zdecydowaną wolę w tym kierunku. Tej woli brak. Brak jej mimo licznych głosów, jakie zewsząd odzywają się w tej sprawie. Ale cóż pomogą głosy wołających na puszczy, choćby nawet liczne, kiedy doniosła ta sprawa jest przedewszystkiem psychologicznie zagwożdżona!

Dlaczego jest zagwożdżona? Bo ogół nasz katolicki, choć zapełnia w święta kościoły po brzegi, nie umie myśleć po katolicku. Wprawdzie nie brak jednostek, które słowem — ale tylko słowem — mienią się być „rzeczywiście ponadpartyjnymi“ katolikami. Wygłaszają nawet nieraz

z emfazą, jak to sobie taki „ponadpartyjny“ katolicyzm wyobrażają. W istocie jednak są to zagorzali partyjnicy, o czem, rozmawiając z nimi przez pęć minut, bardzo łatwo można się przekonać. Może istotnie nie są zapisani do żadnego stronnictwa i nie płacą tam wkładek, ale niemniej przeto mają bardzo wyraźne dla tego lub innego stronnictwa sympatje i głuchą, nieraz świadomą nienawiść do wszystkiego, co nie sympatyzuje z danem stronnictwem.

Katolicyzm naszego ogółu — we wszelkich jego sferach — uszeregował się niestety tak dalece według programów partyjnych, że z nich narazie wyrwać się nie może i nie umie. Nieufność polityczna względem bliźniego — zbyt często niestety usprawiedliwiona — jest walną cechą charakterystyczną polskiego katolickiego ogółu. A stąd niepodobna dojść do porozumienia i zgody w sprawie dziennika katolickiego i dlatego właśnie dotąd go niema. Są tylko gazety partyjne, silące się mniej lub więcej na katolicyzm, ale pierwsza lepsza sprawa partyjno-polityczna bez porównania większą odgrywa tam rolę.

Każdy, kto nieco bliżej dotknął się praktycznie tego problemu, musiał wynieść wrażenie, że problem ten jest dla ogółu katolickiego „drażliwy“, że więc mimo coraz liczniejszych głosów, wołających o realizację tej sprawy, stanowi ona w gruncie rzeczy kwadraturę koła, której rozwiązać niepodobna i której rozwiązania wielu sobie wprost — nie życzy!

A drugim powodem, który nieprzebytą dotąd stanowi przeszkodę w urzeczywistnieniu tego niby gorącego, niby powszechnego, a jednak wciąż ad calendas graecas odkładanego postulatu, jest niebywały dawniej, niski, płaski, wprost obrzydliwy materjalizm, rozpanoszony suwerennie w powojennem społeczeństwie. Przy każdej sprawie, przy każdem przedsięwzięciu , czy zadaniu, jakiejkolwiek jest ono natury, pyta się każdy głośno lub cicho: co mi z niego

przyjdzie? Jaka będzie z tego doraźna korzyść materajlna? I jeżeli powojenna jednostka nie dostrzega w danem przedsięwzięciu jakiegoś natychmiastowego zysku, czy innej doraźnej korzyści lub przynajmniej nadziei takiej korzyści, to usuwa się z niechęcią.

Na poziom, że coś może przynieść wielkie nawet korzyści pewnem ogólnem oddziaływaniem na stosunki — a przez to właśnie korzyści trwałe, rzetelne — nie jest w stanie wznieść się krótkowzroczna, licho kalkulująca z dnia na dzień mentalność powojenna.

Stąd to pochodzi, że ludzie — nawet inteligentni ludzie — pędzą dzisiaj najczęściej tylko za tak zwanemi „konkretnemi" hasłami i sprawami, węsząc wszędzie tylko za jakimś krótkoterminowym, doraźnym interesem, któryby już conajmniej łudził ich perspektywą pieniężnego zysku, czy innych, bezpośrednio namacalnych walorów, czy przynajmniej zdobycia sobie „wybitnych stosunków" i t. p. Dają się więc ludze nabierać raz po raz na różne efektowne projekty i przedsięwzięcia, ba, nie skąpią nawet na nie pieniędzy, choć to niby ciężkie czasy. Ale na takie sprawy, jak stworzenie dla polskiego świata katolickiego poważnego, centralnego organu prasowego, któryby świecką myśl katolicką dokoła siebie skupiał, kształcił i na kraj cały rozszerzał — na to „nie idą" trzeźwe, realnie i konkretnie kalkulujące umysły ludzi nowoczesnych, bo w wąskich granicach swego egoistycznego, aż do przesady materjalistycznie nastrojonego podwórka nie są nawet w stanie doniosłości i głębszych korzyści takiego przedsięwzięcia zrozumieć.

A tymczasem panoszy się i penetruje w najgłębsze komórki organizmu społecznego prasa, jeżeli nie wprost zła, gorsząca, lekkomyślnie lub celowo wywrotowa, to w każdym razie coraz bardziej brukowa, coraz bardziej obliczona tylko na niższe instynkty czytelników, których w bezwzględnej pogoni za „poczytnością" ściąga na coraz niż-

szy poziom. Bo przeciętny czytelnik nie byłby jednak aż tak płytkim, aż tak dalece tylko za niezdrową sensacją goniący, jakim go dziś widzimy, gdyby go prasa takim planowo nie urabiała w swym wyścigu o poczytność. Że tak jest, świadczy o tem coraz głośniejszy chór nieco rozumniejszych czytelników gazet, którzy, spotykając się w salonach, biurach, salach zebrań lub na rogach ulic, skarżą się wzajemnie na „upadek dzisiejszej prasy", na „te świstki sensacyjne, które muszą dzisiaj czytywać". Bo przecież tak brzmią te wszystkie głosy, nieprawdaż?

Oburzają się nasi wielcy moraliści, stuprocentowi katolicy, na np. bardzo detaliczne opisy, jakie w ostatnim czasie przyniosły poważne nawet gazety o „bestjalskiej zbrodni", dokonanej we Lwowie przez jakiegoś inwalidę-sklepikarza, który w kiosku swym pokrajał na sztuki ciało zgwałconej i zamordowanej „kurtyzany najniższego gatunku" i wynosił te kawałki w paczkach gdzieś za miasto. Z jakąż lubością, z jakiemż przejęciem się „obowiązkiem publicystycznym" opisują takie rzeczy „katolickie" dzienniki, zamieszczając nieraz tuż obok wzniosłe apele patrjotyczne lub fotografje z uroczystości kościelnych, na których widnieją postacie dostojników Kościoła!

Coś tu jest nie w porządku i to grubo nie w porządku i dlatego słusznie skarżą się ludzie na „te świstki, które musimy dzisiaj czytywać". Tak, skarżą się, ale — nic więcej. Czysto po polsku! Wyciągnąć jakąś praktyczną konsekwencję z takiej skargi, tego „trzeźwy, realny" umysł powojennego rodaka w niepodległej Ojczyźnie nie potrafi. Potrafił pod obcym zaborem, dzisiaj — nie! Bo dzisiaj (że to niby kryzys) znaczy tylko namacalny interes doraźny. Stąd „myśl nowoczesnego Polaka" ogranicza się raz w raz do dania wyrazu swemu świętemu oburzeniu, do jałowej (a zwłaszcza nic nie kosztującej) krytyki i negacji, ale gdy przychodzi na serjo do „konkretyzacji" wielkiego, niby po-

wszechnego postulatu, wówczas wypełzają na światło dzienne tysiączne względy, względziki, zastrzeżenia, restrykcje mentalne, niezgody „pryncypialne" — no i, koniec końcem, sprawa wielkiego dziennika katolickiego przybiera coraz bardziej legendarne kształty „węża morskiego".

A ponieważ na świecie tylko fakta coś znaczą, a nie puste gadanie, więc gaudium wielkie we wszelkich sferach antykatolików, ateistów i innych przeciwników Wiary, że tandem tedy polski świat katolicki, posiekany na partje, prowincje, obozy, zaścianki i różnice „przekonań" co do metod realizacji idei katolickiej w Polsce, na poważny organ prasowy, nadrzędny, o świeckim charakterze, zdobyć się nie może.

A jeżeli już niekiedy mowa o tem nieco więcej na serjo, to z całkiem błędnego punktu widzenia. Wysuwa się zaraz na pierwszy plan problem „uzgodnienia klucza partyjnego", problem absolutnie beznadziejny, bo na tej platformie prawdziwy dziennik katolicki nigdy nie powstanie, a już w żadnym razie — gdyby nawet sztucznie powstał — utrzymać się nie zdoła. Całkiem fałszywe jest to założenie, zrozumiałe, o ile chodzi o zwykłe gazety polityczne, że dziennik katolicki mogą stworzyć politycy. Stąd też, gdy tylko o tem mowa, projektodawcy oglądają się mimowoli na „wybitnych polityków" i łamią sobie głowy nad tem, jak ich współudział zyskać i jak ich między sobą według wyborczego klucza uzgodnić. W rezultacie taki komitet organizacyjny dziennika katolickiego przybiera dla bezstronnego obserwatora wygląd jakiegoś komitetu wyborczego i zamierzenie nie dochodzi do skutku, albo powstaje jakaś pospolita gazetka partyjna, prawiąca wprawdzie — risum teneatis! — zdawkowe komunały o katolicyźmie, ale w gruncie rzeczy ubijająca całkiem widocznie pewne interesy redakcyjno-partyjne.

Nie — ani czynni, mocno zaangażowani politycy, zainteresowani moralnie, czy materjalnie w politycznej karjerze,

ani też redaktorzy, rutynowani w prowadzeniu pism partyjno-politycznych, których mózgi więc tylko tymi torami myśleć przywykły, nigdy prawdziwego organu prasy katolickiej nie stworzą, bo stworzyć nie są w stanie, nawet przy dużej fachowej wiedzy i talentach. Dziennik katolicki, któryby odpowiadał integralnie swym celom i zadaniom, musi być całkiem specjalnie redagowany, przez ludzi, którzy wytworzą wprost ad hoc szkołę pisarską o specyficznej mentalności, która jest niezbędną dla ujmowania i traktowania wszelakich spraw, wypadków i zjawisk rzetelnie po katolicku. Bo dziennik katolicki, to nie przytoczenie paru tłumaczeń z „Osservatore Romano" i paru sprawozdań z zebrań bractw kościelnych, paru głosów dydaktycznych i paru skarg kronikarskich na nieprawości tego świata, a reszta — jak w innych gazetach, obliczona oczywiście na „zaciekawienie" tramwajowego i kawiarnianego czytelnika, lub na zbożne prowadzenie wszystkich prenumeratorów do jednej urny wyborczej. To nie jest dziennik katolicki, ale zwykła gazeta polityczna, reklamująca się katolicyzmem tak, jak inne reklamują się np. zainteresowaniem dla życia gospodarczego. Pierwszym więc warunkiem powstania, trwałej egzystencji i większego wpływu na społeczeństwo prawdziwie katolickiego dziennika jest zdecydowane oderwanie się od wszelkich spraw partyjno-wyborczych i przeprowadzenie tego postulatu z żelazną konsekwencją w całej treści i charakterze dziennika, bez obawy o opinję w tym względzie prenumeratorów. A tego żaden z istniejących dzienników nie potrafi, bo ich wszystkich egzystencja i myśl przewodnia opiera się na pojęciach, wytworzonych światem parlamentaryzmu. Światowy rozwój prasy począł się na serjo dopiero z chwilą rozbudzenia życia partyjno-parlamentarnego i szedł krok w krok za niem. Bez polityki partyjno-parlamentarnej nie wyobraża sobie żaden fachowy redaktor egzystencji dziennika.

I w tem leży trzeci walny szkopuł, przeszkadzający

powstaniu prawdziwie katolickiej gazety i prowadzeniu w niej prawdziwie katolickiej polityki, oczyszczonej gruntownie z perypetji partyjnego parlamentaryzmu, a skierowanej na traktowanie doniosłych problemów światopoglądu katolickiego i ogólnej polityki państwowej. Bo polityką, w znaczeniu całokształtu spraw publicznych, oraz ważnych potrzeb państwowych, zająć się taki dziennik musi, ale w całkiem innym nastroju i z inego punktu widzenia, niż „urabianie“ mas wyborczych od jednej kadencji do drugiej. To ostatnie nie jest zadaniem katolickiego dziennika — choćby nawet tylko pod pobożną obsłonką było wykonywane — i nie powinno na jego łamach wogóle egzystować. Skoro bowiem dziennik taki ma być wyrazem światopoglądu powszechnego katolicyzmu, to rzecz jasna, że nie może służyć żadnej innej sprawie, nawet pośrednio i zdaleka. Może tylko i powinien służyć, poza sprawami religji i Kościoła, także i Ojczyźnie, w myśl dyrektywy: Oddajcie co Boskiego Bogu, a co cesarskiego: cesarzowi!

Cokolwiekby kto zresztą w tej materji chciał więcej powiedzieć, my konstatujemy narazie tylko zawstydzający dla polskiego ogółu katolickiego fakt, że tenże ogół na prawdziwie katolicki, wielki dziennik nie był w stanie dotąd sę zdobyć!
